

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom [illegible])

Telefon Nr. 479.

[illegible] Sylweryusz [illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 29 grudnia 1917. Nr. 52.

Pokój i wojna w Rosyi.



1) Pałac na Inflantach, spalony przez wojska rosyjskie. 2) Żołnierze rosyjscy i rumuńscy. 3) Rosyjskie miasto Psków, głośne z walk z wojskami jen. Korniłowa. 4) Ogólny widok Kijowa, obecnej stolicy „republiki ukraińskiej".

Od Administracyi.

Z numerem następnym rozpoczynając I-szy kwartał XV-go roku naszego wydawnictwa, wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do dnia **4. stycznia 1918 r.** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	25 kor.
Półrocznie	12 „ 50 hal.
Kwartalnie	6 „ 25 „

Pokój i wojna w Rosyi.

Rozpoczęta przez rząd „bolszewików" akcya pokojowa została uwieńczona oczekiwanym wynikiem. Po kilkunastodniowych układach doszło do skutku zawieszenie broni, zawarte pomiędzy Rosyą a Austro-Węgrami i Niemcami. Również i Rumunia, militarnie związana z Rosyą, poszła za jej przykładem. Tak więc na froncie rosyjskim i rumuńskim umilkła wrzawa wojenna, a rządy odnośnych państw rozpoczęły już merytoryczne układy pokojowe. Jaki będzie ich przebieg, trudno dziś przesądzać, jest rzeczą niemal jednak pewna, że rząd Lenina i Trockiego nie będzie stawiał żadnych trudności, dążąc za wszelką cenę do zawarcia odrębnego pokoju z Austro-Węgrami i Niemcami. Pewne trudności mogą tu wyniknąć raczej z wewnętrznej sytuacyi w Rosyi, gdzie dotychczas panuje niebywały chaos.

Bolszewicy mają wprawdzie za sobą wojska frontowe, spragnione pokoju — i to jest główną rękojmią powodzenia ich akcyi pokojowej — ale wewnątrz państwa wre jeszcze zacięta wojna domowa. Wieści, jakie nadchodzą z Rosyi, są bardzo chaotyczne i nie dają obrazu panujących tam stosunków, nie ulega jednak wątpliwości, że rząd Lenina ma groźnych przeciwników. Nad Donem stoi ze swą armią jen. Kaledin, nad Uralem jen. Dutow, a republika ukraińska zwróciła się także przeciw bolszewikom. Jak donoszą ostatnie telegramy, dotychczas jeszcze nie sprawdzone, przyszło nawet do bitwy pomiędzy wojskami bolszewickiemi i ukraińskiemi, która miała skończyć się porażką Ukraińców i ucieczką rządu ukraińskiego z Kijowa...

Ogólny chaos powiększają jeszcze ekscesy, jakich dopuszczają się wojska bolszewickie i chłopi, rabując i paląc dwory...

Tak więc ta sama Rosya, która stała się propagatorką pokoju na polach bitew, spływa dziś krwią wewnętrznej wojny domowej...

Co wyłoni się z tego chaosu pokojowo-wojennego w Rosyi, najbliższa przyszłość okaże.

OD WYDAWNICTWA.

Po raz czwarty od chwili wybuchu światowej wojny rozpoczynamy nowy rok naszego wydawnictwa przy odgłosie zawieruchy dziejowej, która, śmiało rzec można, połowę Europy zrównała z ziemią i osierociła tysiące rodzin. Huragan wojenny szaleje dalej w całej swej grozie, ale świta już nadzieja pokoju.

Warunki, w jakich nam przychodzi dziś pędzić życie, z dnia na dzień, stają się coraz trudniejsze, wobec czego **czternasty rok wydawnictwa,** który właśnie ukończyliśmy, zaliczyć musimy do najgorszych i najcięższych. Jeśli, mimo to, nie upadliśmy na duchu i staraliśmy się zwalczać mężnie przeciwności, to tylko **w interesie ogółu** i w przeświadczeniu, że jest to naszym świętym obowiązkiem, skoro **Nowości Illustrowane** są do dziś

jedynem polskiem pismem illustrowanem,

które w sposób zupełnie objektywny stara się odzwierciedlić te wielkie momenty dziejowe, wśród których nam żyć wypadło.

Że zadaniu, jakie wzięliśmy na swe barki, sprostaliśmy, tego dowodem

wzmagająca się stale poczytność naszego pisma,

o którem śmiało możemy powiedzieć, że **dochodzi wszędzie tam,** gdzie los rzucił bodaj garstkę Rodaków. A zadanie to z dnia na dzień staje się coraz uciążliwszem, nieraz przychodzą chwile, w których się zdaje, że trudności się nie pokona...

Idziemy jednak śmiało naprzód, ufając w swe siły, które ożywia **zapał do pracy dla dobra ogółu i poparcie P. T. Publiczności,** która, widząc w **„Nowościach Illustrowanych"**

jedynie wiarygodne odbicie obecnej chwili,

uważa je też słusznie za **prawdziwą dziejową pamiątkę,** mającą i po latach wielu przywieść na pamięć nam samym i potomnym te wszystkie wydarzenia i przeżycia, jakich byliśmy świadkami i w których niejednokrotnie przyszło nam brać osobisty udział.

W tym celu staraliśmy się i nadal dołożymy starań, aby **„Nowości Illustrowane"** stały się prawdziwą

illustrowaną kroniką wypadków wojennych na ziemiach polskich,

aby ponadto zaznajamiały ogół P. T. Czytelników

z najważniejszemi wydarzeniami o znaczeniu ogólnem,

w dalszym ciągu propagując idee

tworzenia niezależnego państwa polskiego i polskiej armii.

Zwłaszcza na ten ostatni punkt naszego programu zwracaliśmy zawsze baczną uwagę, starając się w słowie i obrazku upamiętnić najważniejsze momenty dziejów

budzącej się do życia nowego Polski.

Czy udało nam się sprostać zadaniom, to osądzi ogół Czytelników, jesteśmy przecież pewni, że sąd ten wypaść musi na naszą korzyść, zawsze bowiem i wszędzie przyświecała nam myśl, że pracujemy

dla ogółu, nie dla siebie!

Jak zaś w kończącym się właśnie roku pogorszyły się materyalne warunki wydawnictwa, zrozumie chyba każdy. Jeśli w którym dziale życia, to właśnie w dziale wydawniczym walczyć się musi z tylu brakami najniezbędniejszych artykułów i z taką drożyzną, iż budżet roczny

zamyka się poważnym deficytem.

Nie zrażamy się tem przecież i w nadziei lepszej przyszłości, która pozwoli nam powetować poniesione straty, prosimy ogół czytającej Publiczności

o dalsze poparcie,

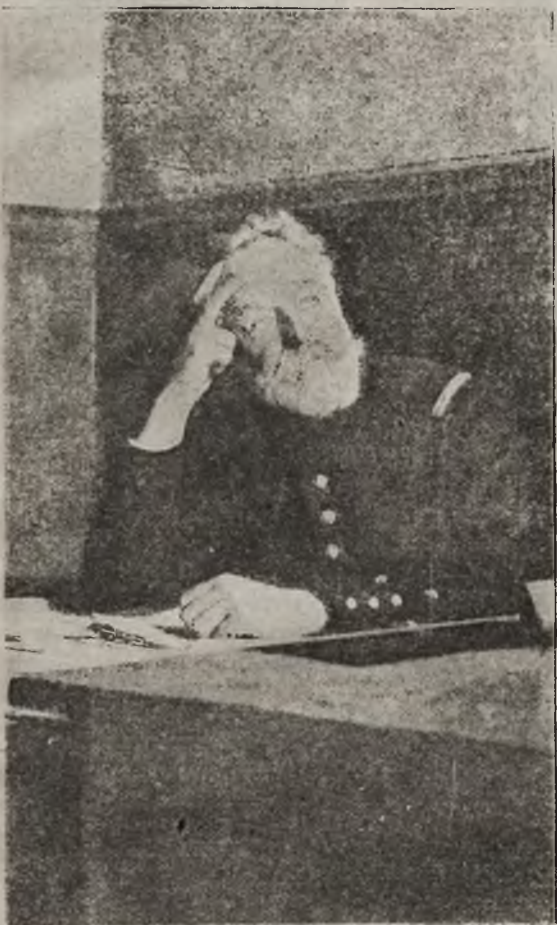
zapewniając równocześnie, że i nadal, tak jak dotąd, nie poskąpimy trudu ani wysiłków, by stanąć na wysokości swego zadania.

Zgon uczonego i działacza polityczn. w Warszawie.

W Warszawie zmarł po krótkiej chorobie b. rektor uniwersytetu warszawskiego, ś. p. dr. Józef Brudziński, profesor pedyatryi, w wieku lat 42.



Zgon uczonego i działacza politycznego w Warszawie: S. p. Józef Brudziński, rektor Uniwersytetu Warszawskiego.



Z frontów bojowych: Jenerał Sarrail, były komendant wojsk koalicyjnych na Bałkanach.

Zmarły, jeden z najzdolniejszych i najwybitniejszych polskich lekarzy, był wychowańcem uniwersytetu warszawskiego i już na ławie szkolnej wyróżniał się talentem i pracowitością. Po uzyskaniu stopnia lekarza w uniwersytecie w Moskwie, doktoryzował się w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie był przez pewien czas asystentem przy katedrze pedyatryi. Uzupełniwszy wiedzę swoją w instytutach uniwersyteckich w Gracu, Wiedniu i Paryżu, rozpoczął praktyką lekarską w Warszawie, skąd niebawem powołany został na lekarza naczelnego szpitala dla dzieci im. Poznańskich w Łodzi. Spędziwszy lat kilka w Łodzi, gdzie pozyskał pierwszorzędną praktykę, przeniósł się do Warszawy już jako lekarz wybitny w zakresie swej specyalności.

Wypadki polityczne w Królestwie i w stolicy, wysunęły go w szeregi pierwszych działaczy, powołanych do budowania kiełknącej państwowości polskiej. Powołany na stanowisko profesora, a następnie rektora uniwersytetu warszawskiego, pierwszemi wystąpieniami swemi zwrócił na siebie uwagę i niebawem został wybrany na przewodniczącego Rady m. Warszawy. Zarówno jako rektor, jakoteż jako prezes Rady miejskiej, dr. Brudziński umiał zachować należytą powagę i rozwinąć działalność intenzywną, jednając sobie ogólny szacunek. Przemówienia jego, wygłaszane przy licznych uroczystościach i w chwilach przełomowych zdarzeń historycznych, jakich był uczestnikiem, nacechowane były głębokim i szczerym patryotyzmem, spokojem oraz powagą, która zjednała mu szacunek nawet w kołach przedstawicieli władz okupacyjnych. W miarę zwiększających się trudności, ś. p. Brudziński, nie umiejąc się pogodzić z różnymi kierunkami polityki





Z frontów bojowych:

Austro-węgierski patrol górski w czasie niebezpiecznej przeprawy na włoskim froncie.

Austryacki karabin maszynowy ze zbudowanej przez Włochów wieży ostrzeliwuje nieprzyjacielskie aeroplany.

(Woj. kwat. pras.).



Z Ziemi Świętej: Staw Salomona w pobliżu miasta Betleem



Szczekociny — Kościuszko: Wjazd do pałacu w Szczekocinach.

partyjnej, usunął się z widowni publicznej, pragnąc działalność swą ograniczyć do pracy zawodowej i profesorskiej. Ostatnim jego występem politycznym był udział w podróży delegacyi siedmiu do Berlina i Wiednia. Podróż ta, jak wiadomo, poprzedziła proklamacyę z 5 go listopada 1916 r.

W roku bieżącym nie przyjął już ś. p. dr. Brudziński ponownego wyboru na rektora i ustąpił, żegnany z żalem przez senat i młodzież. Zaledwo przed kilku tygodniami odbyło się uroczyste jego pożegnanie z uniwersytetem, nacechowane niezwykłą serdecznością, świadczącą o popularności i sympatyi, jaką się cieszył we wszystkich sferach ludności stolicy i wśród młodzieży. W Tymczasowej Radzie Stanu piastował ś. p. Brudziński urząd wicedyrektora departamentu oświaty, a przed kilku zaledwo dniami zamianowany został wiceministrem oświaty.

Zgon ś. p. Brudzińskiego obudził tem większy żal i współczucie, że nastąpił prawie nagle, nie poprzedzony poważniejszą chorobą. Społeczeństwo polskie w Królestwie, w którem tak bardzo obecnie potrzeba ludzi wybitniejszych, o szerszym horyzoncie myśli i czynu, traci w ś. p. drze Brudzińskim jednego z mężów przyszłości, który w ciągu swej krótkiej działalności publicznej dał się poznać jako człowiek talentu, energii i czynu, umiejący stać na wysokości obowiązku i narodowej godności.

Cześć jego pamięci!



Szczekociny — Kościuszko: Ogólny widok pałacu w Szczekocinach, w którym przebywał Kościuszko przed bitwą pod Szczekocinami.

Z Ziemi Świętej.

Wszyscy mają dziś zwrócone oczy na Ziemię Świętą. Z tej kolebki chrześcijaństwa, tak ściśle związanej z minionemi świętami Bożego Narodzenia, w tym roku właśnie — po tylu wiekach i tylu próbach wypraw krzyżowych — ustąpili wyznawcy półksiężyca, a fakt ten musiał naturalnie wywołać zrozumiałe wrażenie w całym świecie chrześcijańskim. Z okazyi tej zamieściliśmy też w poprzednim numerze szereg fotografii z Jerozolimy, które uzupełnimy dzisiaj zdjęciami z Betleem — miejsca urodzenia Jezusa Chrystusa.

Miasto to, leżące w odległości 8 klm. od Jerozolimy, liczy obecnie 7 000 mieszkańców, chrześcian różnych wyznań. Znajduje się tam kościół zbudowany w 327 r. przez cesarzową Helenę, na miejscu, gdzie według tradycyi, miał się narodzić Chrystus. W okolicy Betleem znajdują się inne jeszcze miejscowości, przez tradycyę uświęcone, jak grota Mleczna, w której Najśw. Panna miała schronić się przed ucieczką do Egiptu, grób Racheli i stawy Salomona, których fotografie zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Z Ziemi Świętej. Ogólny widok miasta Betleem

Adam Wiaryga-Miniecki.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

29

Pociąg biegł. Minęła godzina jedna, druga... aż wreszcie i Jurka zmorzył sen. Głowa opadła mu na piersi i zadrzemał.

ROZDZIAŁ XVI.

Złotoróżany, niezwykle ciepły, upalny dzień zwiastujący poranek wstawał nad miastem, kiedy Józia, trzymając w ręku swoją walizeczkę, znalazła się przed dworcem krakowskim.

Wyspała się doskonale w wagonie, to też czuła się świeża, wypoczęta, rześwa. Cera jej nawet zaróżowiła się lekko, a oczy, błyszczące jak turkusy, przepromienione słońcem, śmiały się do blasków wschodzącego dnia, do odrapanych murów dworca, do brudnych kamieni bruku, do obwisłych łbów koni dorożkarskich, nawet do zamkniętego jeszcze kiosku z owocami i wodą sodową.

Jak dziecko cieszyła się myślą o dniu, który ją czekał. Oto stoi na bruku krakowskim, daleko od znienawidzonego swego pokoju w Łykowie. Wie, że nie zobaczy dzisiaj ani jutro pani Żarnickiej, ani Joasi, ani Loli, że nie posłyszy ich uszczypliwych uwag, że nie będzie kurczyła się pod smaganiem ich urągliwych uśmiechów i wrogich spojrzeń.

Jest dzisiaj swobodna, przynajmniej dzisiaj i chce być bardzo wesoła. Teraz czeka na Jurka, który jako żołnierz, musi na stacyi załatwić wojskowe formalności.

Nareszcie jest!

— Widzi pan, co za piękny poranek! Aż śmieje się do nas.

— Będzie upał!

— Niech sobie będzie. Nic nie szkodzi. Bardzo lubię upał — zapewnia Józia. — Ale żeby pan wiedział, jak ja się cieszę, że jestem w Krakowie! Jaki kochany ten Kraków! Strasznie lubię Kraków!

Józia jest w takiem usposobieniu, że gotowa lubić wszystko. Jurka także, nawet bardzo, bardzo.

W świeżem powietrzu poranka, drgającem już, ale jeszcze nie przegrzanem promieniami słońca, rozlega się melodya poważna, uroczysta, do głębi serca przejmująca. To hejnał z wieży Maryackiej.

— Hejnał! O! Hejnał!... — wykrzykuje Józia — Jak ja lubię hejnał!...

— Tego niema nigdzie na świecie... To takie nasze... polskie... jedyne... — szepcze Jurek.

— Cicho!... Słuchajmy...

Stoją przez chwilę zasłuchani, dopóki hejnał nie umilkł.

— Chodźmy!

— Ba! Ale gdzie?... Tak wcześnie bramy jeszcze pozamykane... W domu u ojca śpią wszyscy... Pańska mama zapewne także...

Jurek nie miał wcale zmartwionej miny, bo nie spieszyło mu się rozstawać z Józią i rad był tej odwłoce.

— To przeczekamy.

— A gdzie?

— A choćby na plantach... Posiedzimy sobie na ławce.

— Wybornie!

— Tylko pani głodna — kłopotał się Jurek — a ja w plecaku już nic nie mam... Gdzieby tu teraz dostać coś do zjedzenia?!...

— A cóż to? Pan mnie ma za takiego obżartucha, że nie mogę poczekać na śniadanie godzinę czy dwie, albo nawet trzy?..

— Zaraz... zaraz... — zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

— Jest! O! Jest!... Widzi pani... dobrze, że sobie przypomniałem! — tryumfująco pokazywał jej małą paczuszkę, białym papierem owiniętą.

— A co to takiego?

— Piernik przekładany konfiturami!... Pyszności!... Spróbuje pani...

— A pieczonych gołąbków, albo ananasów, w cukrze osmażonych, nie ma pan tam przypadkiem przy sobie? — żartowała Józia.

Zbliżyła się do nich teraz jakaś kobiecina w ubraniu góralki, ze sporym tobołem na przygarbionych już, ale jeszcze krzepkich barkach.

— Nie wiedzom tez pan, ka tu jest „festunkśpital"? — zapytała nieśmiało, rzucając wokół lękliwe, zdumione spojrzenia.

— „Festung-spital"? — zapytał Jurek — A jaka liczba?

— Licba? — powtórzyła, nie rozumiejąc widocznie.

— No, jaki numer?

— Lumer?... Mój panicku złoty, kie jo nie naucno na lumerach..

— Przyjechaliście odwiedzić tutaj kogoś?... Macie kogo w szpitalu?...

— A juści, ze mom... Syna, panicku złoty... Trzi roki bedzie, jak z cysarskimi poszed... A teroz we śpitalu jest. A cy bych to jechała, kieby nie on.. a cy bych to stare kości moje wlekła do kuleje... do te dyabelskie masiny... A com strachu użyła, jak to tak fucało... — rozgadała się płaczliwie.

Jurek i Józia mimowolnie roześmiali się.

— Pierwszy raz jechaliście koleją, matusiu?... — zagadała Józia.

— A piersy roz!... A dy dyabliby mnie gnali w teli świat, zeby nie syn... Ale jakze, syn na wojnie był, a teroz we śpitalu...

— To i w Krakowie pierwszy raz jesteście?

— A cy to ja miałak cas ku Krakowu jeździć?! — odpowiedziała babina, rozglądając się z coraz to większym podziwem.

Widoczne ruch na placu przed dworcem, choć nie nazbyt jeszcze ożywiony, wprawiał ją w zdumienie.

— Cy to jarmarek bedzie?

— Ależ nie...

— To i przez co telo ludu sie kręci i wozy z kuniami stojom?...

— Bo tu zawsze tak... W mieście inaczej, niż na wsi... — tłumaczył Jurek.

— To tu ludzie widać nie dużo do roboty majom, kie sie im tak chodzić kce...

— A skądeście wy? — rzuciła pytanie Józia.

— Aże od Tymbarku, panieńko, od Tymbarku, a jakże.. Do syna przyjechałak, co we śpitalu jest... Jeść mu wiozę co, nieco... i chlebusia kawałek i syrek... i masła osełkę... Może ta biedota głód cierpi... Chciałabyk co najprendzy do niego.. Tak, prosem pieknie, ka jest ten „Festunkśpital"?

Jurek namyślał się chwilę, w jaki sposób dopomódz góralce.

— Macie wy jaką kartkę od syna ze szpitala?

— Ady mam, panicku...

— Przy sobie?

— A juści...

— Pokażcie mi...

Uniosła nieco nakrochmaloną wierzchnią spódnicę i zanurzyła rękę w głębokiej kieszeni. Wyjęła pomiętą, białą kartkę i podała ją Legioniście.

— Niekze panicek przecytajom...

Wziął kartkę do ręki. Było to drukowane zawiadomienie ze szpitala.

W odnośnej rubryce Jurek przeczytał: „ciężko ranny". Odnalazł numer szpitala i zaczął kobietę objaśniać.

— Poczekacie na tramwaj i pojedziecie tramwajem aż do...

Wybałuszyła na niego zdumione, ogłupiałe oczy.

— „Trabaj"? A cóż to takiego, ten „trabaj".

— To taki wóz bez koni, co was do samego szpitala zawiezie...

— Znowuś bez koni?! O! Utrapienie Boskie z temi „masinami"... Panicku, kie jo sie boję!...

— Ależ, nie macie się czego bać!... Tutaj wszyscy tak jeżdżą.

— A niekta, kie tak nauceni!... Ale mnie rzeknijcie ino, ka ten śpital, to jo już na piekty wolę!...

Trwało to dobrą chwilę, zanim zdołali ją przekonać, że tramwaj szybciej i pewniej dowiezie ją do szpitala... Ostatecznie zgodziła się na jazdę, ale znać było po niej, że nie zupełnie dowierza temu nieznanemu środkowi lokomocyi.

Zaprowadzili kobiecinę do przystanku tramwajowego, a ponieważ tramwaje nie kursowały jeszcze, wytłumaczyli jej, że ma stać i czekać, dopóki wóz nie nadjedzie.

— A juści, siadne se i zapytom sie te panie, co przedaje „bielety", ka wysiednąć... A juści, siadne i zapytom sie... — powtarzała ogłuszona, oszołomiona budzącym się gwarem i ruchem, zdumiona brukiem ulic, szynami tramwajowemi, rozmiarami domów — wszystkiem tem, co dla niej, która oprócz swojej wsi i kilku sąsiednich, znała tylko małe, jarmarczne miasteczko, stanowiło świat zupełnie nowy.

Podziwiała, ale bała się... Daleko więcej bała się, niż podziwiała.

Usta gapiowato otwarła i wystraszonym wzrokiem błądziła dokoła.

W zamieszaniu swojem zapomniała nawet podziękować „panickowi" i „panicce".

Jurek i Józia szli tymczasem dalej ulicą, zmierzając w stronę plant.

Słońce zaczynało już dobrze przygrzewać i powodzią złotych blasków zalewało bruki i mury domów, spływało ciepłą pieszczotą na głowy ludzkie.

Wzdłuż ulicy ciągnął się długi sznur, ustawionych w pary osób. Kobiety, dzieci, starcy. Sznur ten poczynał się u zamkniętych drzwi piekarni, a wybiegał daleko poza nią i zakręcał w przecznicę.

Jedna z kobiet trzymała na ręku małe dziecko, które krzyczało wniebogłosy, prawdopodobnie dopominając się o śniadanie.

— Cicho, jagódko!... Cicho robaczku mój biedny!... Kupi mamusia chlebka, da ci, będziesz jadł!... — głaskała matka dziecko po obrzękłej, żółtawej buzi.

Mały nie przestawał krzyczeć.

— A zatkajże pani gębę temu bechowi, bo wrzeszczy, aż uszy bolą!... — ozwała się jakaś dziewczyna z pretensyonalnie zakręconą grzywką.

Kobieta z dzieckiem na ręku cisnęła się, jak oparzona.

— A ty suko wściekła!... a ty pomiotło świńskie! To ty mojemu dziecku będziesz mówiła „bech"!... A ty wiesz, co to znaczy dziecko?...

— U wa!... Wielkie rzeczy dziecko!...

— Dzieci nie dla takich, jak ty, małpo pierońska!...

— Ja ci tu dam małpę...

— Stul pysk, bo ci wydrę te kudły pokręcone!...

— Cichojcie, no panie, ciechojcie, bo wstyd i obraza Boska!...

— Niedość, że ludzie znosić muszą tyle, jeszczeby się pomiędzy sobą gryźli, jak psy?...

— Proszę o spokój!... — flegmatycznie odezwał się policyant, pilnujący porządku.

Kłócące się kobiety przycichły, tylko obrażona matka warczała jeszcze przez długą chwilę półgłosem jakieś obelgi.

Tłum czekał. Czekał cierpliwie, przyzwyczajony już od miesięcy do tego wystawania pod zamkniętemi drzwiami sklepów, do tej żebraniny o dobrze zapłacony, a gorzki, lepki, niesmaczny kawałek „wojennego" chleba, do tej gonitwy za ziemniakami, za mlekiem, za wszystkiem, co do zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia konieczne.

Jakaś kobieta, o twarzy przedwcześnie porysowanej zmarszczkami, o ziemistej cerze i wąskich, zaciśniętych zgryzotą ustach, zaczyna kląć straszliwie, wynajdując najbardziej nieoczekiwane, najwyszukańsze przekleństwa.

— Nie klnij pani! — upomina ją ktoś — lepiej prosić Boga, żeby już raz okazał zmiłowanie!...

— Teraz to człowiek, zamiast modlitwy, to przekleństwo ma!... Jakże tu prosić: „chleba powszedniego daj nam dzisiaj"... kiedy człowieka zbiera ochota krzyczeć: „a karty chlebowe jasnym pieronem racz spalić Panie!..."

— Oj! To prawda, prawda!...

— Karty to nam dali i najedzże się tu kartami...

— Ale są tacy, co wszystko mają!...

— Coby nie!

Mały chłopak, stojący w jednej z pierwszych par, poczyna płakać głośno.

— A czego ty buczysz?!...

— A bo mnie tak nogi bolą!... Uuu!... Od trzeciej godziny stoję!... Mamusia kazała, bo ani kawałka chleba w domu nie mamy!... Uuu!... Nogi mnie bolą!...

— Cicho bądź, cicho!.. Nie drzyj się!... Nie drzyj się!.. Nie ciebie jednego!...

— Co to? — pyta Józia, wskazując towarzyszowi łańcuch ludzki, który powiększa się, narasta z każdą niemal chwilą.

— Jakto? Nie wie pani?... „Ogonek" chlebowy... Ci ludzie czekają tak już od kilku godzin na otwarcie piekarni... I prawdopodobnie połowa z nich odejdzie bez chleba — głodna!... — mówi Jurek, a usta drgają mu wyrazem goryczy.

— Aaa!...

— Jakto, nie wiedziała pani, na jakiej planecie pani żyje?... — wybucha zdumiony.

— Wiedziałam, słyszałam, ale dawno nie miałam sposobności widzieć... Mnie dotychczas chleba jeszcze nie brakowało...

Ostatnie słowa wymawia jakby z zawstydzeniem, jakby w poczuciu jakiejś winy. Jakiej, tego nie wie sama. Tylko własne troski i zgryzoty bledną jej i maleją dziwnie...

— Mój Boże!... Mój Boże!... Jakie to straszne!

— Teraz, to jeszcze nic, przynajmniej ciepło, ale w zimie — w śniegu, na mrozie... To wojna, proszę pani...

W mało uspołecznionej duszy Józinej zaczyna się coś burzyć i wrzeć. Myśl, pobudzona do pracy, usiłuje przeniknąć, rozwiązać zagadkę.

— Dlaczego?... Dlaczego tak?!

Jurek wzrusza ramionami. Czoło ma ponuro zmarszczone i w oczach ostre błyski.

— Dlaczego?!... Nie wie pani?...

— Jaka ja jestem głupia!... — szeocze Józia, zawstydzona już niepomiernie, głęboko...

Wzrok chłopca przesuwa się po jej twarzy dziwnie tkliwem spojrzeniem.

— Takie dzieciątko z pani...

— Niech no pan da ten piernik... — przypomniała sobie nagle.

Wyszukała jakąś dziewczynkę bosą, o milutkiej, mizernej twarzyczce i dała jej piernik. Dziecko spojrzało zdziwione i, nie dziękując nawet, zatopiło zęby w słodkiem cieście.

Ten odruch dziecinnego, niewyrozumowanego współczucia sprawił Józi samej dużą przyjemność i uspokoił ją trochę.

— Chodźmy... — zaproponował Jurek — Co się będziemy gapić... To tylko ludzi złości...

— A to chodźmy!...

W tej chwili przemknął przez ulicę wóz z zamkniętą, szafirowo pomalowaną budą, na której widniał napis: „Zakład dezynfekcyjny"...

W tłumie, oczekującym przed piekarnią, powstał żywszy ruch... Spoglądano za niknącym w dali wozem „Zakładu dezynfekcyjnego". Sypały się głośne uwagi.

— Oho! Znowu ktoś zachorował na czerwonkę!...

— A czy to jeden chory?...

— Wszystkich nas tu choroba wytłucze, jak tak dalej pójdzie!...

— Jak nie chorować, kiedy żryć niema co!...

— A można se kupić na szczepańskim szczawiu, szpinaku, sałaty i koniczyny!...

— U mojej bratowej dwoje dzieci umarło!...

— Ale się ta zaraza i grubszych ryb chwyta.

— A jakże!... Choroba nie pyta!... Nie pomogą pieniądze!

Z szmeru rozmów wybił się nagle i zapanował nad gwarem cienki, przeraźliwy głos, śpiewający na przeciągłą, andrusowską nutę:

„Chory radca na czerwonkę,
Bo wywoził żydom mąkę"...

Ozwały się śmiechy.

— A to ci rak przyścipny!...

— Jak to składnie zaśpiewał!...

— Chodźmy! — powtórzył Jurek do Józi.

Za chwilę weszli w zielone, rozkwiecone, różami pachnące planty.

— Jak pięknie!... — zawołała radośnie Józia.

Zapomniała już o wojnie, o „ogonku" chlebowym, o płaczących, głodnych dzieciach i o czerwonce.

Cieszyła się, że róże pachną tak mocno, że poranek jest taki jasny i pogodny, rozkoszny, cieszyła się, że żyje, istnieje, oddycha.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Rany Boskie!... Panienka!... O Jezusicku! Że też oczy moje panienkę jeszcze oglądają!.. O! Mojeż dziecko kochane!...

Wypłowiałe niebieskie oczy starej sługi wilgotnieją ze wzruszenia. Chwyta ręce Józine i chce je całować, na co znowu Józia w żaden sposób nie chce pozwolić.

— Agnieszko!... Cóż znowu... To sensu nie ma, żeby Agnieszka mnie, taką smarkatą w rękę...

— O! Moja panienusia złota!... O moja sieroteńka biedna!... — wzdycha po dawnemu Agnieszka, która służyła u Maliniewiczów jeszcze za życia matki Józi i nie cierpi Maliniewicza z całej duszy.

Słowo „sierotenka" przypomina Józi ojca i... macochę.

— Państwo śpią jeszcze?

— A śpią... śpią... — rzuca niechętnie Agnieszka — Dość się ta wysypiają i pan i ta... nowa pani... Oj!... Sieroty wy, sieroty!... Rozpanoszyła się tutaj na dobre macocha!... Każę na pensyę z domu oddali... Dobrze, że choć Józinka za mąż poszła...

Gadanina sługi niemile dotknęła Józię. Brutalnem przypomnieniem rzeczywistości schmurzyła, zmaciła jasny, pogodny nastrój, wywołany przyjazdem do Krakowa.

— Pójdę zbudzić państwo...

— Niech Agnieszka nie budzi... Poczekam trochę, o! choćby w kuchni i może mi Agnieszka da coś zjeść, bom głodna...

— Głodne dziecko! O, mój Boże!... A ja tu plotę trzy po trzy, zamiast co przygotować!... Zaraz będzie śniadańko, moja ty rybko złota, śliczna!...

— Jaka Agnesia dobra i lubi mnie zawsze, prawda? — mówi z przymileniem Józia, która dobrze pamięta, jak to Agnieszka broniła ją przed gniewem ojca lub ciotki, jak nieraz skarconą pocieszała pieszczotami i karmiła łakociami.

— O, panieneczko ty moja!... jażbym cię nie lubiła, com przecież Józineczkę wypiastowała, wychuchała!... Bo jak nieboszczka pani umarła, to kto się tam troszczył o sieroty?... Pan może?...

W kuchni, do której weszły teraz obie, wszystko lśniło, błyszczało czystością i świeżo szorowana podłoga i biało powleczone, wysoko pościelą usłane łóżko i biało lakierowane sprzęty i nieskazitelnie poczyszczone garnki.

— Jak tu czyściutko, miło, ładnie...

— A co? A co? — oczy Agnieszki rozpromieniają się radością pod wpływem tej pochwały — Prawda, jaki porządek? Tylko się przeglądać we wszystkiem... I to ja sama.. Bo teraz druga, to tylko dochodząca... I myślisz panienka, że to jej dogodzi?... Gdzie tam?...

— Komu?...

— A panowej żonie!... Macosze!... — słowa te wymawia z takim akcentem gniewu i pogardy, że Józię przebiega dreszcz.

Ta macocha! Boże! Ta macocha — jakże mało o niej dotychczas myślała!.. A teraz ona przecież jest tutaj panią i gospodynią.

Józia siada na stołku przy oknie i spogląda ponad wazonikami fuksyi kwitnących i pelargonii na czyste, wyasfaltowane, w ramy oficyn ujęte podwórze.

Agnieszka tymczasem krząta się żywo koło pieca, przygotowując. Z garnuszka pełnego mleka zlewa z wierzchu śmietankę, wybiera gruby, żółtawy kożuszek.

Mruczy przytem pod nosem.

— Będzie pieklić, bo będzie, ale niechta m!... Niech się obejdzie cienkiem mlekiem, a dla Józinki będzie śmietanka!... A jakże!...

Klasnęła nagle rękami

— A cóż nieszczęśliwa dam Józi zjeść... jest biała bułka w kredensie!... Piekłam wczoraj, ale ta piekielnica trzyma wszystko pod kluczem... Zamyka, jak przed złodziejem..

— Wszystko jedno... Może jest jaki kawałek chleba, a nie, to się obejdzie. — rzuca pospiesznie Józia, bo ją te wyrzekania na macochę niepokoją i denerwują... Czuje, że ją zaczyna ogarniać strach.

— A mam tu ten magistracki, ale to przecie nie na paniencyne ząbki. Taka glina, że już nie powiem inaczej!...

Józi przypomniał się „ogonek", wyczekujący tak wytrwale i cierpliwie na ten sam niesmaczny chleb.

— Moja Agnesiu, ilu to ludzi łaknie teraz napróżno choćby takiego najgorszego chleba...

— Prawda to, ale zawsze, gdzieżby tam Józia.

— A Agnesia je ten chleb?

— Jakże, jem... Przecie mi innego... ta nie da, choć się sama ciastkami zażera!...

— No to i ja mogę jeść taki chleb, jak wszyscy, jak Agnesia..

— Kiedy panienka taka delikatna... przepraszam, bo to powinnam mówić pani, ale ja tak z przyzwyczajenia...

— Ani panienka, ani pani, tylko poprostu, Józia, jak dawniej, dla mojej dobrej, poczciwej Agnesi!...

— O, mojeż dziecko kochane!... Najmilsze!... Zawsze jak aniołek.. — rozczuliła się Agnieszka.

— Ładny aniołek!.. Pamięta Agnieszka, jak to się zawsze w domu mówiło: czy w tej Józi dyabeł jaki siedzi, czy co?

— Ja tak nigdy nie mówiłam!...

— Czasem to i Agnieszka...

— Nie, nie!... Jabym na Józię taką brzydką rzecz powiedzieć miała?... To nieprawda!

Józia gryzła ze smakiem chleb i zapijała kawą, a Agnieszka kręciła się tymczasem po kuchni, biorąc co chwila bez potrzeby, to to, to owo do ręki i kładąc znowu na miejsce. Popatrywała się przytem na Józię wzrokiem rozjaśnionym uciechą, ale i badawczym trochę.

Przez chwilę panowało milczenie w kuchni. Słychać było tylko chrupanie chleba w zdrowych ząbkach Józi i klapanie starych pantofli Agnieszki po podłodze.

— A co to Józinka tak jakoś mizernie wygląda?... Wyblichowała się i strasznie się „substelna" zrobiła... Czy nie chora aby, czego broń Boże?...

— Ależ nie, zdrowa jestem zupełnie...

— A może... — Agnieszka przydreptała ku swojej panience drobnym kroczkiem i coś jej ze znaczącym, filuternym uśmiechem szepnęła do ucha.

Józia oblała się rumieńcem i odwróciła głowę, zmieszana niedyskretnem pytaniem.

— Nie... nie..

— Niema się czego wstydzić i czerwienić... Toć to swoja rzecz..

— Kiedy nie!...

— Szkoda!... — westchnęła sługa — A to i czegóż Józia taka bledziutka i oczki ma podkrojone i na buzi zeszczuplała...

— Bo ja wiem... Może mi powietrze w Łykowie nie służy... A zresztą ma się też swoje zmartwienia... — westchnęła Józia.

— Ooo!... Zmartwienia, a jakież to zmartwienia może mieć taka młodziuśka mężatka, taka śliczna panius'a?! Chyba, że mąż niedobry? Bo to mężczyzny hycle dla kobiet bywają, jak i nieprzymierzający nasz pan dla...

— Nie, nie, Agnesiu — zaprzeczyła żywo młoda kobieta — mój mąż dobry jest i kocha mnie... Tylko niema go teraz w domu... Przy wojsku jest...

— O, mój Boże!.. — Agnieszka pociągnęła głośno i żałośnie swoim kaczkowatym nosem, co miało wyrażać wielkie współczucie — Przy wojsku?! O, biednaż Józinka!... A kiż dyabli z tą wojną!... Ale przecie zdrów i pisze!...

— Zdrów... On zresztą nie jest na froncie tylko w etapowej służbie...

— No, jak tak, to chwała Bogu.... To jeszcze nie najgorsza, ale zawsze tęskno, co?... — pytała ciekawie

— Tęskno i bardzo... — odpowiedziała cicho Józia.

— I jakże Józinka tak mieszka?... Sama?...

— Mieszkam razem z matką męża. — odpowiedziała Józia, nie zdając sobie sama sprawy z tego, że jej w tej chwili głos zmienił się i twarz spochmurniała.

Nie uszło to jednak uwagi Agnieszki. Służąca popatrzyła na młodą mężatkę jakoś badawczo i niespokojnie.

— I jakże tak? Dobrze?.. Dobra ta matka? Bo jest przypowieść, że „matka mężowa — głowa wężowa".. To i jakaż ta?...

— Dobra. — rzuciła krótko i sucho Józia, oglądając gorliwie wazonik z kwitnącą fuksyą.

Agnieszka pokręciła głową, jakby niedowierzająco i nie odwracała wzroku od twarzy młodej kobiety.

— To Józia nie ma swojego domu? Niby własnego gospodarstwa?...

— Nie... — zaszemrała cicha odpowiedź...

— Kiedy tak, to nic z mojego zamiaru...

— Z jakiego zamiaru?

— A bo to ja właśnie miałam pisać, tylko tak jakoś nie mogłam się zebrać i prosić, żeby mnie panna Józia wzięła na służbę... Bo ja tutaj nie będę...

— Jakto, Agnesia odchodzi od ojca?!...

— Tak, tak... Odchodzę... po tylu latach... choć człowiek już przywykł do tych kątów... — Agnieszka już nie tylko pociągała głośno nosem, ale i fartuch podniosła do oczu.

— Ależ dlaczego?... Czyżby ojciec...

— Ja sama nie chcę być.., ja u tej dyablicy, co się pan z nią ożenił, nie wytrzymam!... Żebyś panna Józia wiedziała, co się tu teraz robi! To niema interesu!...

— Moja Agnesiu... — próbowała przerwać Józia, bardzo zmieszana, ale Agnieszka nie pozwoliła sobie przeszkodzić.

— Pan, to jeszcze jaki był, to był... Dobry ojciec nie był... a jaki mąż dla nieboszczki pani, to już i szkoda gadać. Zawsze jakoś człowiek do niego wezwyczaił się... Ale już co z tą, to niech pies polkę tańcuje, a nie, żeby porządna sługa miała u niej służyć!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szczekociny — Kościuszce.

W miasteczku Szczekocinach, położonych nad Pilicą, w powiecie włoszczowskim, a pamiętnych bitwą stoczoną przez Tadeusza Kościuszkę z wojskami rosyjskiemi i pruskiemi w dniu 6. czerwca 1794, nic do niedawna nie przypominało „Naczelnika w sukmanie“ potomności. Dopiero w roku bieżącym zawiązał się miejscowy komitet budowy pomnika. Dzięki wydatnemu poparciu właściciela dóbr szczekocińskich, pana Tadeusza Halperta, piękna myśl rychło mogła przyoblec się w reale kształty i oto w setną rocznicę śmierci Kościuszki stanął na rynku w Szczekocinach piękny obelisk z piaskowca z popiersiem Naczelnika i napisem: „Tadeuszowi Kościuszce — Rodacy. 1817—1917“.

Przy tej sposobności zamieszczamy też illustracyę przedstawiającą widok pałacu w Szczekocinach, wzniesionego przez Urszulę z Morsztynów Dembińską, starościnę wolbromską. W pałacu tym, dotąd dobrze utrzymanym, przebywał Tadeusz Kościuszko przed bitwą szczekocińską.

Sensacyjna afera polityczna.

W francuskiej Izbie deputowanych rozdzielono prośbę o pełnomocnictwo do wszczęcia postępowania karnego przeciw Józefowi Caillaux, byłemu francuskiemu prezydentowi ministrów. W liście wojskowego gubernatora Paryża, który żąda zniesienia nietykalności poselskiej, powiedziano między innemi, że w ciągu śledztwa, prowadzonego obecnie przez władze cywilne i wojskowe w sprawie kontaktu z nieprzyjacielem, odkryto u wszystkich prawie obwinionych listy Józefa Caillaux nie pozostawiające żadnej wątpliwości, że między nim a obwinionymi istniały stosunki. Treść tej korespondencyi jest niepokojąca i musiała z konieczności zwrócić na się uwagę sprawiedliwości. Szczególnie obciążające są listy znalezione w czasie śledztwa przeciw Bolo'wi. Listy te udowadniają, że Bolo i Caillaux mieli wspólne sprawy, które traktowali z wielką ostrożnością, co już wystarczy do podejrzywania ich. Oprócz listów znalezionych u Bolo'a, obciąża Caillaux'a także korespondencya, znaleziona u Almereidy. Pismo gubernatora oskarża Caillaux'a w dalszym ciągu, że sympatyzował z całem otoczeniem Almereidy.



Sensacyjna afera polityczna: Były francuski prezydent ministrów, obecny członek Izby deputowanych, Józef Caillaux, oskarżony o zdradę stanu.



Z frontów bojowych: Miotacz min i jego obsługa (Fot. Bufa).

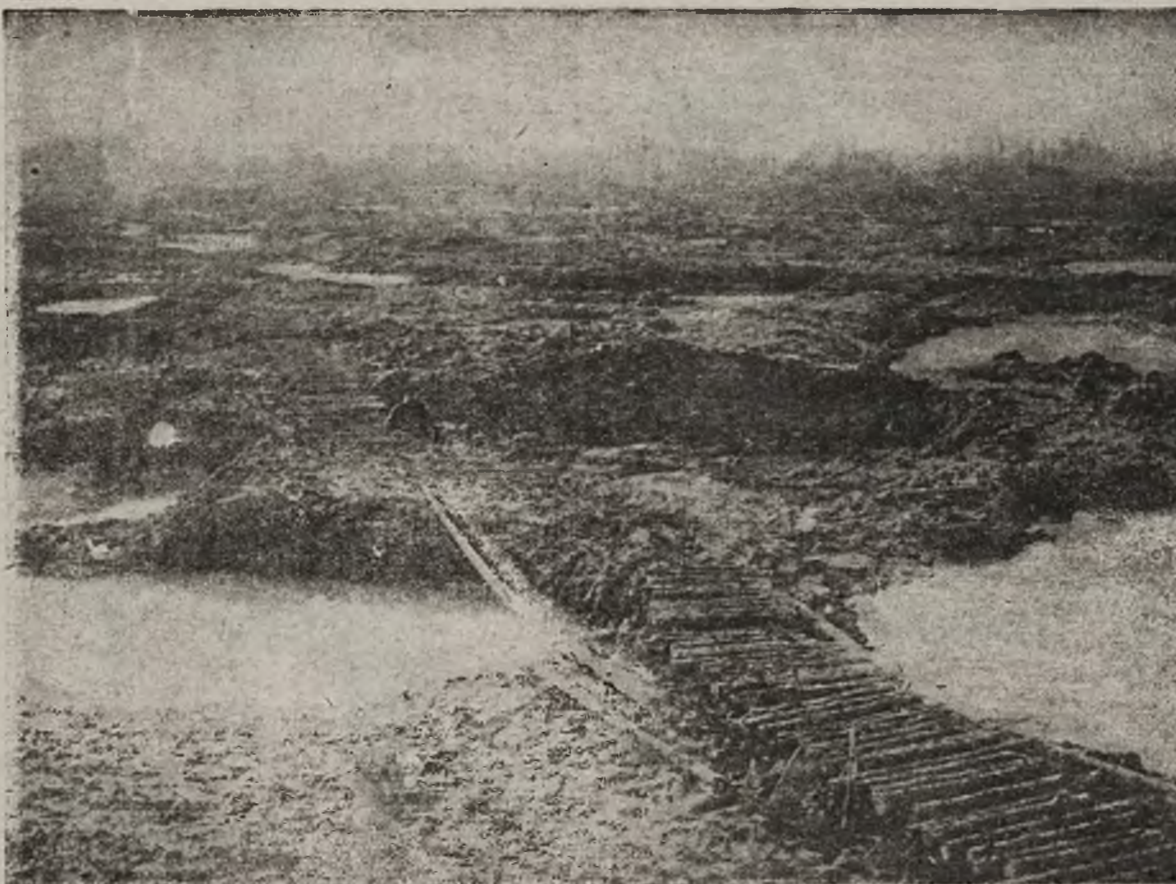


Z frontów bojowych: Austryaccy narciarze w Tyrolu w swych kostyumach śniegowych (Woj. kwat. pras.)



Szczekociny — Kościuszce: Pomnik Kościuszki w Szczekocinach

„Agencya Havasa“ donosi: „Do wniosku na pozwolenie wszczęcia postępowania karnego przeciw Caillaux dodane są dokumenty, z których wynika, że Caillaux w grudniu 1916 r. w Rzymie nawiązał stosunki z osobistościami podejrzanemi z powodu swoich uczuć przyjaznych dla Niemiec. Oprócz tego miał on w Rzymie w obecności pewnych osobistości rozszerzać zbrodniczą propagandę, twierdząc, iż nowe wojskowe wysiłki wyczerpią Francyę do tego stopnia, że nie będzie mogła prowadzić wojny dłużej niż do wiosny 1917 r. Wówczas obejmie on władzę i podpisze pokój. Włochy muszą więc być



Z frontów bojowych: Droga, zbudowana przez żołnierzy niemieckich na bagnistym terenie pod Ypern

przygotowane na zawarcie odrębnego pokoju z Niemcami. Wszystkie koszta wojenne poniesie Rosya i Bałkan; Serbia i Rumunia znikną. Gdy tylko pokój zostanie podpisany, Francya zawrze przymierze z Niemcami, Włochami i Hiszpanią przeciwko Rosyi i Anglii, które są rzeczywistymi wrogami tych krajów".

Wniosek na pozwolenie wszczęcia postępowania karnego łączy się z oskarżeniem Józefa Caillaux z powodu jego działalności, mającej na celu sprowadzenie rozłamu między sojusznikami, tudzież popieranie nieprzyjacielskiego oręża.

Akademickie kursy handlowe dla kobiet.

W szóstym roku szkolnym otworzyła kuratorya zaszczytnie znanej z swej pedagogicznej działalności krakowskiej Akademii handlowej, za inicyatywą niestrudzonego w pracy nad rozwojem szkolnictwa handlowego u nas dyrektora radcy rządu J. Kannenberga, żeńską czteroletnią wyższą szkołę handlową (Akademię). Nowa ta uczelnia wypełnia dotychczasowy brak tego rodzaju szkoły, któraby kobietom, stojącym u nas dziś na równi z mężczyzną do pracy na polu ekonomicznem, dawała obok wykształcenia wyższej szkoły średniej pełne fachowe wykształcenie komercyalne i stanowiła pewną przeciwwagę mniej praktycznemu, a bardzo rozwiniętemu u nas humanistycznemu kierunkowi wykształcenia kobiet.

Zamieszczona w niniejszym numerze fotografia przedstawia grupę uczenic, zapisanych na obecnie nowo otwarty pierwszy kurs tej szkoły, wraz z kierownikiem kursu prof. dr. A. Żabińskim i gronem profesorów.

Z frontów bojowych.

Gdy na wschodnim froncie zapanowała zupełna cisza, jako następstwo zawieszenia broni, zawartego między Rosyą z jednej strony, a państwami centralnemi z drugiej, a do niego przyłączyła się i Rumunia, na razie tylko prowizorycznie, na zachodnim froncie natomiast walki bynajmniej nie ustają, owszem, widoczne tu jest wzrastające z każdym dniem nasilenie, jak gdyby koalicya, chcąc naprawić swe niepowodzenia na wschodzie, tutaj chciała wygrać swe ostatnie atuty.

Oczy całego świata zwrócone są dziś na północny zachód, gdzie Anglicy i Francuzi za każdą



Z frontów bojowych: Partya zniszczonych zupełnie domów w Udine (Woj. kwat. pras.)

cenę postanowili przełamać żelazny mur obronny niemiecki, co im się przecież dotąd nie udało, jak i na południowy zachód, gdzie sprzymierzone armie wdarły się już głęboko na ziemię włoską i w zwycięskim pochodzie postępują ciągle naprzód.



Akademickie kursa handlowe dla kobiet: Słuchaczki pierwszego kursu Akademii handlowej w Krakowie wraz z gronem profesorów





Z frontów bojowych: (Fot. Bufa.)

Załoga angielskiego tanka (żółwia) w niewoli niemieckiej.

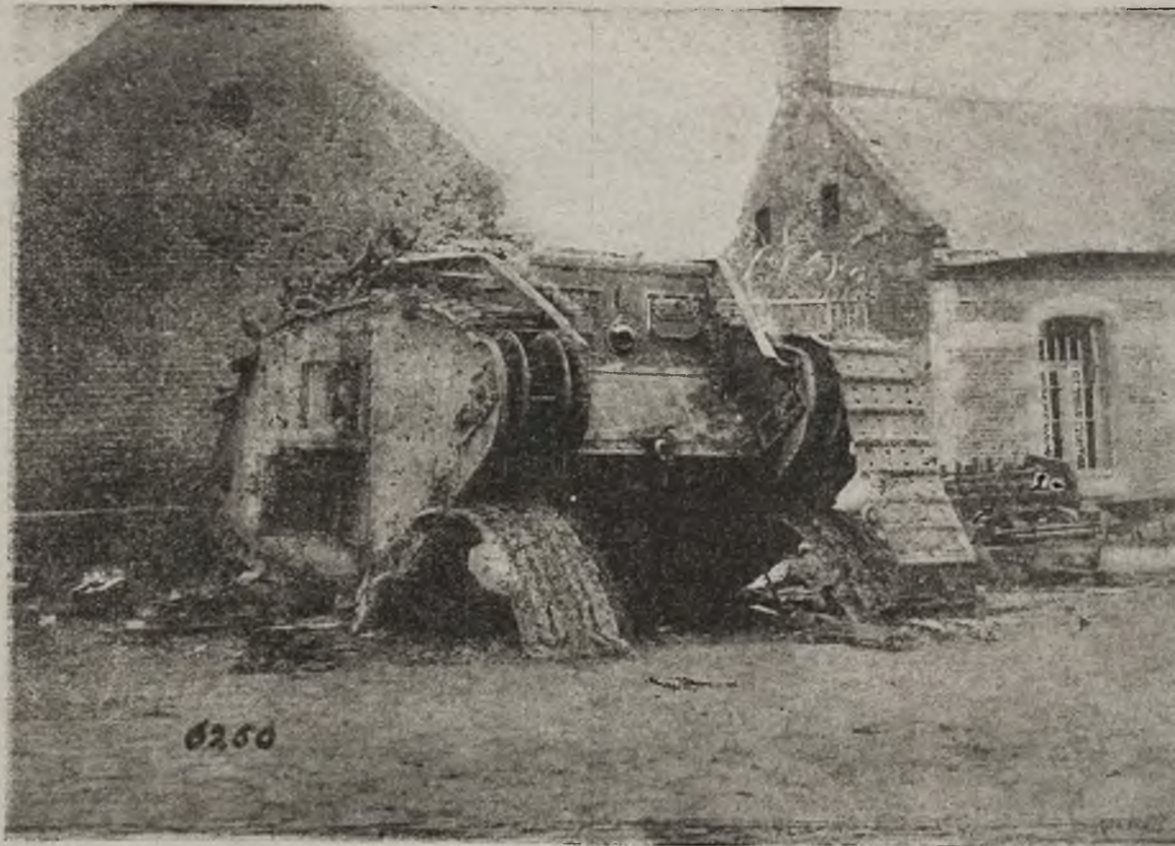
Typy Hindusów wziętych do niewoli przez Niemców w bitwie pod Cambrai

Ostatnie klęski, jakie zwłaszcza Anglicy ponieśli pod Cambrai, gdzie nie żałowano ani ludzi ani amunicyi, a nie osiągnięto spodziewanego celu, są niezbitym dowodem, że ze strony koalicyi są to czyny rozpaczy, tem większej, o ile można się spodziewać, że z chwilą zapewnienia sobie spokoju na wschodzie, zerwią się sprzymierzeni z całą swą siłą na zachód, by raz już doprowadzić tutaj do ostatecznego rozstrzygnięcia. Koalicya, przypuszczając to, chciała ich właśnie uprzedzić, alo jej się to nie udało.

O wydarzeniach na froncie zachodnim, tak północnym jak i południowym, wspominaliśmy już szczegółowo w poprzednich numerach, osobny artykuł poświęciliśmy także wydarzeniom ostatnim w Palestynie, na które ogół stosunkowo mało zwró



Z frontów bojowych: Tren niemiecki w odcinku Piavy nad jeziorem Lago Morto (Fot. Bufa.)



Z frontów bojowych: Angielski tank (żółw), zniszczony pod Cambrai ogniem niemieckiej artyleryi. (Fot. Bufa)

cił uwagi, obecnie zająć się wypada odwołaniem komendanta wojsk koalicyjnych na Bałkanie, jenerała Sarraila.

Stało się ono wydarzeniem dnia, zajmuje się nim bardzo żywo i prasa, tak koalicyi, jak i państw centralnych.

Prawdę mówiąc, oddawna mu się to należało. Działalność bowiem tego francuskiego generała nie przysporzyła czwórporozumieniu ani chluby ani korzyści.

Teraz kwestya tylko, czy usunięcie Sarraila ma być wszystkiem, co postanowiono w tej sprawie, czy też — o czem także od pewnego czasu głuche przebąkiwały wieści — ma być zlikwidowana cała antrepryza salonicka, którą inscenizowano tak hałaśliwie i po której tyle sobie obiecywano.

Na ostatnich konferencyach sprawę tę gruntownie roztrząsano, jak twierdzą pisma z obozu nieprzyjacielskiego. Po co bowiem entente utrzymuje ten cały tabor salonicki, jest zdaje się i dla niej samej tajemnicą.

Jeśli entente'a ocknęła się teraz właśnie, prawdopodobnie przypisać to należy zmianie położenia, wywołanej zwycięstwami sprzymierzonych we Włoszech, jakoteż martwotą frontu rosyjskiego.

Salonicka ekspedycya pomyślana była jako lasso, które entente od strony morza Egejskiego zarzucić miała Bułgaryi na szyję. Za cel główny miała zatkanie w blokadzie luki od strony pobliskiego wschodu. Równocześnie podany był na niej lep na Rosyę, Rumunię i Serbię; ekspedycya wyruszyła — głoszono — z zamiarem zdobycia Konstantynopola, wywalczenia wielkiej Serbii i zaspokojenia drapieżności Rumunii.

Ostatecznie skończyło się wszystko zagładą Rumunii, a wojska niemiecko bułgarskie dobrały się Sarrailowi do gardła, aż tchu mu nie stało i popadł w omdlenie. Armię tę wprawdzie pozostawiono w miejscu, jednakowoż co czas pewien przychodzi zastanowienie, czy też ma to sens jakiś, niewątpliwie bowiem jej działa i karabiny bardzo przydałyby się były na innych polach walki.

Jakiś cel to jednak mieć musiało, że salonicki korpus ekspedycyjny nie został dotąd wycofany. Rozstrzygnęło, zdaje się, w tej mierze kilka przyczyn. Jedną z głównych były może nadzieje pokładane w rosyjsko-rumuńskiej ofenzywie. Dalszym powodem była pewnie potrzeba wywierania stałego nacisku na Grecyę, która okazała się oporniejszą, niźli przypuszczano. Także przykucie pewnej części sił bułgarskich do frontu macedońskiego musiało wydawać się pożadanem. Wreszcie — i to zdaje się głównie decydowało — należało przecież ratować *prestige* koalicyi, które bezwątpienia mocno ucierpiałoby, gdyby wojska Sarraila wycofano, podobnie, jak ekspedycyę na Gallipoli.

Ale dzisiaj w grze są ważniejsze sprawy. Z nastaniem zawieszenia broni, jako przygrywki do odrębnego pokoju z Rosyą na froncie wschodnim, nastąpiło gwałtowne przesunięcie sił na półwyspie



Z frontów bojowych: Austryacki patrol narciarski w Alpach tyrolskich podczas marszu. (Woj. kwat. pras.)

Bałkańskim. Armia bułgarska, która dotąd jednem tylko ramieniem sięgać mogła w stronę Macedonii, oswobodziła obecnie także drugie ramię, z nad linii Seretu i Dunaju. Moment to groźny dla wojsk ekspedycyi i dlatego roztropność nakazywałaby ją zwinąć. Jednak rozumiemy, że na decyzyę taką mimo wszystko nie można się zdobyć z lekkiem sercem... Wycofując bowiem armię Sarraila, musianoby zrezygnować ze swych aspiracyi macedońskich, więcej jeszcze ze stanowiska swego na Bałkanach. Słowem, byłoby to haniebnem bankructwem całej polityki bałkańskiej czwórporozumienia i niemniej sromotnem przyznaniem się do militarnej niemocy. A z drugiej strony, pozostawiając armię Sarraila w Salonikach, naraziłoby się ją na dotkliwą klęskę w razie, gdyby Bułgarzy chcieli — a ta możliwość nasuwa się sama przez się na myśl — przejść na froncie macedońskim do ofenzywy. Pobita zaś armia zostałaby wreszcie wyparta i ekspedycyę musianoby przecież wycofać, tylko, że pod przymusem i z piętnem pobicia na czole. I tak więc źle i tak niedobrze!

A jest ktoś, kto już nie tylko z troską o powagę entente'y oczekuje ostatecznego w tej mierze jej rozstrzygnięcia; ktoś, komu skóra cierpnie na myśl ustąpienia Sarraila z Salonik: Venizelos. Że bowiem zlikwidowanie imprezy salonickiej nie mogłoby pozostać bez wpływu na Grecyę, to jasne. A wówczas nietylko możnaby planom Venizelosa wróżyć fatalny pogrom, lecz nawet z nim samym niewiadomo, coby się stało.



Z frontów bojowych: Dolina górnego Tagliamento, gdzie rozegrały się ostatnie walki rozstrzygające. (Fot. Bufa)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

5

— Ho! Ho! Miłość ta jest zanadto niespokojną, aby być czystą, jak kryształ, a skoro jest niespokojną, nie może być głęboka.

— Lubi się pan bawić w zaprzeczania — zauważył złośliwie młody lekarz.

— Nie zaprzeczam wcale wszystkim wrażeniom duszy, skoro do'rzałem jedno z nich w panu, silne i niezatarte.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Frank z lekkiem drżeniem w głosie.

— Chcę powiedzieć, że są na świecie tajemnicze istoty, niosące w jakimś dalekim zakątku swojego umysłu wspomnienie straszne i że to wspomnienie właśnie obudza w nich zamiary niezniszczalne.

— Niech pan zechce się jaśniej wyrażać — szepnął Frank, nie mogąc ukryć zmieszania.

Ale zdawało się, że nieznajomy nie zwraca na to uwagi.

— Wie pan co? — wyrzekł nagle z widoczną intencyą odwrócenia rozmowy na inny temat. — Możeby pan chciał towarzyszyć mi jutro w pewnej wycieczce.

— O co chodzi? — spytał Frank.

— Mam zamiar kupić niewielką posiadłość, niedaleko stąd. Znajduje się ona w dość ładnem położeniu, nad brzegiem rzeki. Obejrzymy ją razem.

— Nie wiem, doprawdy — wahał się Frank.

— Mamy jeszcze ze sobą do pomówienia — podkreślił nieznajomy, patrząc mu bystro w oczy.

— Może dowiem się przynajmniej, kto pan jesteś — uśmiechnął się młody lekarz.

— Może.

— Niech mi pan to przyrzeknie.

— A czy pojedzie pan ze mną?

— Tak, pojadę.

— A więc do jutra! — rzekł nieznajomy, wyciągając do niego rękę.

— Do jutra! — powtórzył Frank.

Nowa osobistość.

Nazajutrz, o wczesnej godzinie, wytworny powóz, zaprzężony w dwa rosłe konie, unosił Franka i jego towarzysza w stronę bulwarów.

Frank noc tę, również jak poprzednią, spędził bezsennie na rozmyślaniach, a jednakże na twarzy jego nie widać było zmęczenia lub niepokoju. Podtrzymywała go myśl, że rozmowa, którą dziś mieć będzie z nieznajomym, będzie decydującą i wyjaśni mu wszystkie zagadki, dręczące go.

Pierwsze chwile spotkania upłynęły dosyć zimno. Frank czuł się trochę onieśmielony i zmieszany. Tyle pytań tłoczyło mu się do mózgu, a nie wiedział, od którego zacząć.

Im bardziej zapuszczał się na tę nieznaną sobie drogę, po której wiodła go wola nieznanego sobie towarzysza, tem więcej odczuwał dziwny i nieprzeparty wpływ, jaki ten człowiek wywierał na niego.

Jednakże rozum ostrzegał go, że może biernością swoją doprowadzić się do sytuacyi bez wyjścia, poprzysiągł więc sobie, że postawi wszystko na ostatnią kartę i zmusi nieznajomego do zrzucenia maski, pod którą się dotąd tak zręcznie ukrywał. A przytem w duszy jego zaszła zmiana jakaś dziwna, której pojąć nie mógł.

Od roku przeszło kochał Sylwię de Compans, miłością silną i nieobliczalną, o której nikt nie wiedział, oprócz niego samego, tak starannie umiał ją w sobie zgłuszyć.

Miłość ta była jedyną siłą jego życia, wypełnionego pracą, jedyną dźwignią, dającą mu moc wytrwania na tej ciężkiej i niewdzięcznej drodze, którą sobie obrał, jedynym celem marzeń i dążności. I chociaż wiedział, że nie będzie ona nigdy uwieńczona realnym rezultatem, podtrzymywał ją w sobie, podtrzymując tem samem swoje własne istnienie.

A oto, od dnia poprzedniego, jakaś wielka zmiana zaszła w nim w tym kierunku.

Przekonawszy się, że Sylwia wzbudziła miłość w Oktawiuszu Gaudin i że sama mogła się sympatycznie odnosić do tego śmiesznego, karykaturalnego człowieka, Frank uczuł się dotkniętym silnie w swojej miłości własnej i zrażonym. To nie była już ta Sylwia, o której marzył nocami całemi, widzenie cudowne jego pierwszego, młodzieńczego snu. Ideał wyśniony zeszedł z wysokości, na których wyobraźnią swoją umieścił go i teraz Frank ze zdziwieniem pytał się, czy nie uległ złudzeniu.

Jednakże miłość taka, jaką Frank obdarował Sylwię de Compans, nie mogła w jednej chwili uledz zupełnemu zniszczeniu, bo zanadto silnie związaną była z najtajniejszymi zakątkami jego duszy. Uległa ona tylko przeobrażeniu i młody lekarz był jeszcze pod urokiem piękności Sylwii, ale uczucie to przybrało więcej realne formy i wyzbyło się cokolwiek idealnych osłonek, któremi dawniej było otoczone.

— No i cóż? — zbudził nagle Franka głos towarzysza. — Milczy pan zawzięcie, jak człowiek szczęśliwy, który lęka się szczęście to spłoszyć słowami. Czy naprawdę czuje się pan dzisiaj tak zadowolonym?

Frank otrząsnął się z zadumy i zwrócił ku nieznajomemu, który już od dłuższej chwili obserwował go bacznie.

— Szczęśliwy? — powtórzył z westchnieniem. — To zależy, jak pan to rozumie.

— Znajduje się pan przecież u szczytu swoich pragnień. Czy nie tak?

— Rzeczywiście.

— Zbliżył się pan do panny de Compans, mówił pan z nią, uratował ją pan od śmierci.

— To prawda.

— Czego pan więc żąda jeszcze?

— Wszystkiego.

Nieznajomy uśmiechnął się dziwnie.

— Wszystko, to znaczy miłość? — zapytał.

— Co znaczy sława lub majątek, jeżeli się nie jest kochanym. Pod tym względem znajduję się obecnie w tej samej sytuacyi, co wczoraj.

— Nie zaprzeczam, i odtąd można twierdzić, że, nie będąc odgadywaczem cudzych tajemnic...

Tu nieznajomy zawahał się i spojrzał znacząco na Franka.

— Że Sylwia de Compans nie kocha mnie — dokończył tenże z goryczą.

— Przynajmniej nie jeszcze — dodał jego towarzysz. — Ale zresztą, cóż pan uczynił takiego, aby wzbudzić w niej to uczucie? Czy pan przypuszczał, że Sylwia od pierwszego wejrzenia zakocha się w panu, tak, jak się to dzieje w romansach?

— A jednak pan sam wierzy w taką możliwość?

— Dlaczegóżby nie!

— Zdaje mi się, że to byłoby snem — szeptał Frank, silnie wzruszony.

— Ta młoda dziewczyna nie kocha jeszcze dotąd nikogo — wyrzekł poważnie nieznajomy.

— Dlaczego mi pan to mówi?

— Aby pan wiedział, że los dalszy leży we własnych pana rękach. A przytem, kochany doktorze, czy nie wiadomo panu, że kobiety zazwyczaj nie kochają, wyróżniają tylko.

— Gdyby chociaż to wyróżnienie padło na moją osobę.

— To zależy...

— Dając mi zawsze takie odpowiedzi — żachnął się Frank niecierpliwie — może pan zgadnąć wszystko i nigdy się nie pomylić.

— Bo pan mnie nie rozumie wcale — zauważył spokojnie nieznajomy.

— Operuje pan tajemniczym językiem czarodziejów.

— Czy sądzi pan, że trzeba być czarodziejem, aby zrozumieć kobietę?

— Tak mówią.

— Ci, co tak mówią, pochlebiają im.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Kobiety lubią pochlebstwa i na równi z królami nie znają sprawiedliwego sądu. Rozum dla nich jest bez znaczenia, a tylko wyobraźnia zajmuje wybitne miejsce.

— Gdyby Sylwia mogła sobie wyobrazić, że mnie kocha...

— Trzeba ją do tego nakłonić.

— Jakim sposobem?

— Niech pan szuka. Ale, wie pan, zdziwiony jestem bardzo spostrzeżeniem, że pan nie zna zupełnie tej młodej dziewczyny, pomimo, iż pan jest nią tak gorąco zajęty.

— Ja?

— Oczywiście... Niech ją pan bada, obserwuje, a przekona się pan, że bardzo łatwo nakłonić ją do miłości.

— Ale, czy ja będę mógł tego dokonać? Kiedy znajduję się blizko niej, zmieszany jestem, tracę świadomość istnienia.

— To bardzo źle.

— Cóż więc robić?

— Postanowić coś nieodwołalnego... Niech pan zrezygnuje.

— Chyba pan żartuje!

— Nie! Wcale nie! Ta panna nie jest stosowną towarzyszką dla pana. Piękny Oktawiusz będzie dla niej stosowniejszym.

— Ależ to idyota!

— Co w tem złego?

— Jest śmieszny.

— Mniej, niż pan, bo on, chociaż nie kocha, on bierze tę sprawę rozumowo, jako dobry interes. Zresztą będzie on doskonałym mężem dla Sylwii de Compans.

— Oh! Niech pan tego nie mówi! — zawołał Frank z wybuchem rozpaczy.

— Oktawiusz ideałowi pana ofiarowywać będzie wspaniałe suknie i bizuterye i będzie przez nią kochany. A kiedy doda do tego powóz ze służbą w liberyi, willę i dwie garderobiane, będzie poprostu uwielbiany i czuć się będzie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

— Pan jest przerażający — szeptał młody lekarz, przejęty mimo woli złośliwemi obserwacyami nieznajomego.

— Jestem człowiekiem prawdy — odparł tenże z prostotą.

— Pan chce mnie doprowadzić do rozpaczy!

— Przeciwnie.

— Ale to wszystko, co mi pan mówi, odbiera mi resztki odwagi.

— Bo pan nie jest człowiekiem stanowczych decyzyi.

— Biedna Sylwia! — westchnął Frank.

— Tak! Biedna Sylwia, ma pan słuszność — odparł poważnie nieznajomy — ale niech pan wie, że w obecnym czasie wszystkie panny doszły do tego, że serca ich przepełnione są nienaturalną ambicyą i pragnieniem zbytków! Kto im to zapewni, będzie przez nie wybranym.

— To straszna rzecz!

— I pan chce walczyć! Walczyć bez broni i przygotowania, kiedy rywal pana stanął w szrankach uzbrojony od stóp do głowy. To szaleństwo, kochany doktorze! Przecież pan rozumie, że nieunikniona porażka czeka pana.

Frank długą chwilę milczał zamyślony. Różnorodne wrażenia osaczyły go pod wpływem słów nieznajomego. Wrodzona uczciwość jego odpychała przekonania podsuwane mu, podczas kiedy rozum podkreślał ich strony praktyczne i realne. Jednakże głęboka wspaniałomyślność jego natury buntowała się skrycie i w naleganiach nieznajomego dostrzegł zamaskowany cel jakiś.

— To, co pan mówi — odezwał się — może być słuszne po części, ale przecież nie mogę dać się przekonać powodami tej natury.

— W takim razie godzi się pan na przegraną.

— Na porażkę! Niech i tak będzie — zawołał wyzywająco Frank. — Nie tracę w niej przynajmniej honoru! Pozatem niech mi pan pozwoli wyjawić całą myśl swoją.

— Zgaduję ją, ale niech pan mówi — odparł nieznajomy, uśmiechając się lekko.

— A więc jestem przekonany, że pan chce mnie pociągnąć w jakąś intrygę, której cel nie jest mi wiadomy, w każdym razie dotyczy on tylko pana osoby.

— Ho! Ho! Domysły pana przybierają bardzo realną barwę — zauważył nieznajomy.

— Pan się usuwa przed wyjaśnieniem!

— Wcale nie. Konstatuję fakt tylko. Ale nie przestanę być szczerym, bo szczerym wobec pana być można, nieprawdaż?

— A więc?

— A więc... ma pan słuszność!

— Przyznaje to pan?

— Dlaczegóż miałbym to ukrywać? Czy nie jestem starszym od pana przeszło o lat dwadzieścia? Pozatem wzbudził pan we mnie głębokie i prawdziwe zainteresowanie. Z tytułu więc tego prawa duchowego pozwalam sobie na wiele rzeczy wobec pana.

— Ale ten cel? Ten cel? — nalegał Frank.

— Istnieje — odparł poważnie — i musiał być bardzo ważny, bardzo potężny, aby mnie oderwać od tych cudownych krain, w których przebywałem i sprowadzić tutaj.

— I nie żałuje pan dotąd tego? — zapytał ciekawie młody lekarz.

— Oh! Ja nigdy nie żałuję niczego — odparł nieznajomy z pewnym odcieniem melancholii

w głosie. – Co zaś do Ameryki, którą znam dobrze, to przyznaję, że wolę jeszcze naszą starą Europę. Jedna jest tam tylko rzecz wspaniała! Natura! Natura, która pozostała w tym samym stanie pierwotnym, jak w pierwszych początkach swojego bytu. Gdyby pan znał te przeolbrzymie bory Nowej Ziemi! Szukacie Boga w głębi zimnych, surowych kościołów, a wyśmiewacie się z honoru na deskach waszych teatrów. Idźcie lepiej nad brzegi jezior bezgranicznych, poznajcie tajemnicę lasów. Tam znajdziecie tego Boga, którego tutaj napróżno szukacie, Boga Mocarza. Przejmie was wielkością swoją i niewyczerpaną hojnością swoją. Powinieneś tam się udać, kochany doktorze. Cel pana wyolbrzymi się na tych przestrzeniach bez końca i jeżeli kiedy przyjdzie panu pragnienie spojrzenia w stronę Starej Ziemi, śmiać się pan będzie, doktorze, z tych nędznych, śmiesznych, skarłowaciałych istot, które w próżności swojej chciały przerobić naturę na podobieństwo swoje i które ośmieliły się bezbożną ręką dotknąć najtajniejszych tajemnic przyrody.

– Dlaczegóż więc powrócił pan do Europy? – zapytał Frank, zdumiony.

– Miałem cel, jak już panu mówiłem, cel ważny i porzuciłem wszystko, aby wypełnić misyę, która mi była narzucona. Zobaczyłem znowu Europę. Ale, ile czasu będę musiał tutaj przepędzić, tego nie wiem jeszcze. Lecz przysięgam, że zadanie moje doprowadzę do końca i wówczas wezmę mój kij podróżny do ręki i powrócę do lasów, gdzie odnajdę dawną swobodę i samotność.

Głos nieznajomego przy tych słowach stał się prawie uroczystym i głębokim. Można było w nim odczuć silne podniecenie i gorączkę.

Frank odczuł że znajduje się więcej, niż kiedykolwiek, pod wpływem nieznajomego i gotów na każde skinienie wypełnić jego wolę.

Naturę miał wrażliwą i romantyczną i słowa nieznajomego, opiewające cuda przyrody, nieznanej mu, wzbudziły we Franku entuzyazm i pragnienie poznania jej.

Popchnięty magnetyczną jakąś siłą, nagłym ruchem wyciągnął rękę do towarzysza i uścisnął dłoń jego gorąco.

Przez chwilę nastrój pomiędzy nimi był bardzo serdeczny i ułatwiający zwierzenia, może nawet prawdziwie czuła sympatya i przyjaźń drżała w ich głosach, ale powóz zatrzymał się nagle i Frank, momentalnie zmrożony, zapadł w dawną oziębłość i nieufność, bo uprzytomnił sobie, że, pomimo tej rozmowy, dosyć szczerej, nie dowiedział się jeszcze, kim był ten człowiek, który umiał tak oddziaływać na jego umysł, otaczając się ciągle niezbadaną tajemnicą.

– Przyjechaliśmy już – odezwał się nieznajomy, wyskakując z powozu. – Teraz trzeba myśleć o realniejszych sprawach. Jeżeli pan chce, powrócimy jeszcze kiedy do tej rozmowy.

– Chętnie – odpowiedział Frank trochę niepewnym głosem.

– Zresztą, nie zabawimy tu długo. Dom ten oddawna jest do wynajęcia, ja zaś pragnę go kupić i sądzę, że nie napotkam w tem trudności.

Kiedy nieznajomy wymawiał te słowa, dał się słyszeć szybki turkot powozu i kareta, zaprzęgnięta w dwa przepyszne konie, zatrzymała się przy bramie willi.

Frank i nieznajomy zamienili zdziwione spojrzenie.

Lokaj, w wytwornej, ciemnej liberyi, zeskoczył z kozła i podbiegł drzwiczki otworzyć.

Z powozu wyszedł młody człowiek, o dziwnie harmonijnych i wdzięcznych ruchach i skierował się w stronę willi.

Było coś w jego wysmukłej, zgrabnej postaci, co musiało zwrócić uwagę każdego. Twarz o regularnych, arystokratycznych rysach, wydłużona cokolwiek ku dołowi, otoczona była falą jasnych, wijących się naturalnie włosów. Pod długiemi, czarnemi rzęsami błyszczały szafirowe oczy, spokojnym, głębokim blaskiem. Rysunek ust i nosa wykazywał dziwną energię i stanowczość.

Na pierwszy rzut oka młody człowiek czynił wrażenie dziecka piętnastoletniego, tyle żywości i wdzięku było w każdym jego ruchu, a jednak pewny, poważny wyraz twarzy wskazywał, że młodzieniec ten dochodził już do lat pierwszej dojrzałości.

Całą postać jego okrywał długi, szeroki płaszcz podróżny. Spostrzegłszy Franka i jego towarzysza, młody człowiek zarumienił się lekko i cień wzruszenia zamigotał w jego oczach. Ale opanował się szybko i wzrok jego przybrał dawną śmiałość i energię, a na ustach ukazał się drwiący uśmiech.

Skąd jednak to wzruszenie na widok osób, których nie widział przedtem nigdy? Być może, że uległ uczuciu wrodzonej nieśmiałości i zmieszaniu, które jednak usunąć prędko potrafił.

Frank od pierwszej chwili został uderzony sympatycznym wyglądem młodego nieznajomego. Było bowiem tyle wdzięku w jego lekko ironicznym uśmiechu i tyle intelligencyi i bystrości w błyszczących oczach, że odczuł do niego odrazu sympatyę i nagłą życzliwość.

Towarzysz Franka również nie został obojętnym.

Badawcze jego spojrzenie objęło pięknego chłopca i tak, jak Frank, uderzony został energią i wytwornością, bijącą od jego postaci.

Wyczuł w nim charakter silny i wyższy i skonstatowanie to wprawiło go w lekkie zmieszanie.

Tymczasem młody podróżny zbliżył się do furtki ogrodowej i, znalazłszy się naprzeciw Franka i jego towarzysza, skłonił się przed nimi z wyszukaną kurtuazyą.

Frank cofnął się, aby mu ułatwić przejście.

– Pozwoli pan, że przejdę po panu – odezwał się młody człowiek. – Proszę przejść, panie doktorze.

– Pan mnie zna? – zapytał Frank, mocno zaintrygowany.

– Od wczoraj cały Paryż zna doktora Franka, który w cudowny sposób uratował córkę barona de Compans – odparł z prostotą podróżny.

Pochwała ta niemile dotknęła młodego doktora, wiedział bowiem on tylko jeden, że nie zasłużył na nią, bo uzdrowienia Sylwii de Compans dokonał właściwie kto inny, a tego wyjawić nie mógł.

Towarzysz zaś jego na te słowa ściągnął brwi niechętnie. Jeszcze bystrzejsze spojrzenie zatopił w twarzy młodego podróżnego, ale nie wyczytał w niej nic, prócz uprzejmości, zdradzającej dobre wychowanie.

Albo więc chłopiec ten nie miał żadnej ukrytej myśli, zwracając się do Franka, albo też tak trudnym był do zbadania.

Ta niepewność sądu obudziła w nieznajomym uczucie podejrzliwości głębokiej.

– Fałszywe pochwały – szepnął cicho do ucha Franka.

Tego zaś ta uwaga dotknęła niemile, bo z natury był szczery i skory do ufności wobec ludzi.

Bez słowa przestąpił próg furtki ogrodowej.

– Proszę przejść – odezwał się uprzejmie młody człowiek – proszę przejść, panie Lopez.

Towarzysz Franka nie mógł powstrzymać drżenia usłyszawszy imię swoje, wymówione głośno.

Zacisnął usta gniewnym ruchem i oczy jego, błyszczące i zimne jak stal, spoczęły wyzywająco na podróżnym.

Ale i tym razem spotkał tylko twarz spokojną, ożywioną uprzejmym uśmiechem.

– Zdaje się, że pan zna świat cały! – rzekł wkońcu tonem złośliwym.

– Tak, jak pan, podróżowałem wiele – brzmiała odpowiedź.

– Szczególna rzecz, że nie spotkałem pana nigdzie na swojej drodze.

– Oh! Jestem tak drobną osobistością, że przechodzę wszędzie niespostrzeżenie.

– Pan naprawdę jest zanadto skromnym – odparł nieznajomy, nazwany Lopezem. – Zaręczam panu, że wystarczy pana raz zobaczyć, aby zapamiętać dobrze.

– Pan bardzo dla mnie łaskawy – wyrzekł młody człowiek z prostotą.

– Proszę, niech pan przejdzie pierwszy – nalegał Lopez, hamując zniecierpliwienie.

– Czyż nie jest pan tutaj, jak u siebie?

– Co? – syknął Lopez, prostując się, z twarzą pobladłą i zmienioną. – Co pan chciał przez to powiedzieć?

– Chciałem zaznaczyć, że pochodzę z Montenegro, ale że teraz obydwaj znajdujemy się we Francyi – rzekł młody człowiek, nie zdając się zwracać uwagi na zmieszanie Lopeza, który w milczeniu, z brwiami silnie ściągniętemi i głęboko zamyślony, wszedł do ogrodu.

Ale po chwili otrząsnął się z tego wrażenia, potrząsnął głową, jak gdyby odpędzić chciał myśl jakąś natrętną i zwrócił się do młodego Montenegreńczyka z ironicznem zapytaniem:

– Czy pan także pragnie nabyć tę posiadłość?

– Może – odpowiedział tamten wymijająco.

Podczas tej krótkiej zamiany słów, Frank, który znalazł się pierwszy w ogrodzie, otacza jącym willę, przechadzał się powoli, rzucając zaciekawione spojrzenia wokoło.

Posiadłość do sprzedania.

Ogród ten miał wygląd dziki i opuszczony. Widzieć było można od pierwszego wejrzenia, że nikt nie dbał o utrzymanie go w porządku. Trawniki i grządki kwiatowe zarośnięte były wysokimi i gęsymi chwastami, wspinającymi się aż po konarach starych drzew. Wysmukłe, dzikie maki rosły tu w wielkiej obfitości, panoszące się zuchwale nad trawami, przytłaczając je swoją niezwykła bujnością. Grube pokłady mchu pokrywały konary drzew, ścieżki, niegdyś posypane piaskiem, zarośnięte były zielskiem przeróżnem, wskazując, że dawno już bardzo nikt nie przechadzał się po nich.

Dom, wznoszący się w środku ogrodu, nacechowany był również piętnem opuszczenia i smutku. Zdawał się nie być zamieszkanym. Zielone okiennice pozamykane były starannie na wszystkich piętrach.

Po ścianach deszcze i wilgoć niezatarte pozostawiły ślady, znacząc je długiemi, ciemnemi rysami, miejscami malowidła znikły zupełnie, a na zamkach i okuciach rdza osiadła gęsta.

– Smutne mieszkanie – zauważył doktor Frank, przejęty tym widokiem.

– Czyni wrażenie opustoszałej wyspy – dodał młody podróżny.

– Do kogo ten dom należeć może?

– Zaraz się pan o tem dowie – wtrącił się do rozmowy Lopez. Szybkim krokiem podszedł bliżej do domu, na progu którego ukazał się teraz człowiek, wyglądający na dozorcę tej posiadłości.

Ten człowiek, którego żaden z trzech mężczyzn nie znał wcale, był to Paskal, dawny służący hrabiego, właściciela willi. Zachował on dotąd ten sam wygląd. Fałsz, podstęp i złośliwość nie znikły z latami z jego niesympatycznej twarzy. Zestarzał się tylko i choć postawa jego wyrażała dawną siłę i odporność, gęste jego włosy i brodę pokrywała siwizna.

Lopez podszedł do niego i rzekł uprzejmie:

– Mój przyjacielu, czy nie mógłbyś nam powiedzieć, do kogo należy ta posiadłość?

– Do hrabiego de Compans – odparł służący, obrzucając nowoprzybyłych podejrzliwem spojrzeniem.

Odpowiedź ta wyrwała okrzyk zdumienia z piersi Franka i nie zdając sobie dobrze sprawy z doznanego wrażenia, pomyślał natychmiast, że Lopez dobrze wiedział, kto jest właścicielem willi i rozmyślnie dla tej przyczyny sprowadził go tutaj.

– Nie wiedział pan o tem, że willa „la Bièvre“ jest własnością hrabiego? – zapytał młody podróżny, zbliżając się do Franka.

– Nie wiedziałem – odparł tenże – i tembardziej dziwię się, widząc stan jej wielkiego zaniedbania i opuszczenia. Można z tego domu uczynić niewielkim kosztem i zachodem jedną z najprzyjemniejszych letnich rezydencyi i zdumiony jestem, że hrabia de Compans o tem nie pomyślał dotąd.

– Hrabia de Compans, albo kto inny – zauważył młody człowiek.

– A może – rzucił niedbale Lopez – hrabią de Compans kierują jakieś osobiste względy, które oddalają go od tych stron.

Po tych słowach nastąpiło chwilowe milczenie.

Młody podróżny i Lopez zamienili pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia, a Paskal poruszył się niecierpliwie. Frank tylko jeden pozostał spokojny i obojętny.

– Jakież to moga być powody? – zapytał z uśmiechem Lopeza.

– Ach! Kochany doktorze! Czy to wiedzieć można! Panu de Compans dobrze tam, gdzie jest i obawia się może zmiany powietrza dla swojej córki.

– Ależ powietrze jest doskonałe w tej dolinie.

– Rzeczywiście, ma pan słuszność.

– A więc?

Lopez wzruszył ramionami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Rozejm z Rosyą.

Układ o rozejm, zawarty i podpisany 15. b. m. w Brześciu Litewskim między naczelnemi kierownictwami wojsk Austro Węgier, Niemiec, Bułgaryi i Turcyi, a naczelnem kierownictwem wojskowem Rosyi, ma następujący tekst:

Między upełnomocnionymi zastępcami kierownictw wojskowych Austro Węgier, Niemiec, Bułgaryi i Turcyi z jednej, a Rosyi z drugiej strony, w celu doprowadzenia do skutku pokoju trwałego dla wszystkich stron honorowego zawiera się następujący rozejm:

I) Rozejm zaczyna się 17. grudnia 1917 o godzinie 12 w południe i trwa aż do 14 stycznia 1918 do godziny 12 w południe. Strony zawierające układ mają prawo wypowiedzieć rozejm 21 dnia siedm dni naprzód. Jeżeli to się nie stanie, to rozejm trwa automatycznie dalej, póki jedna ze stron nie wypowie go siedm dni naprzód.

II.) Rozejm odnosi się do wszystkich sił lądowych wymienionych państw na froncie lądowym między morzem Czarnem a Bałtyckiem. Równocześnie nastaje rozejm na widowni rosyjsko tureckiej wojny morskiej. Strony, zawierające układ, zobowiązują się podczas tego rozejmu nie wzmacniać związków wojskowych, znajdujących się na tych frontach, ani też nie przedsiębrać na tych frontach żadnego przegrupowania dla przygotowywania ofenzywy.

III) Za linię demarkacyjną na froncie europejskim uważać mają sobie strony najbardziej naprzód wysunięte przeszkody wielkich stanowisk. Miejsce między temi dwiema liniami uważa się za neutralne. Również nadające się do żeglugi rzeki, które dzielą oba stanowiska, są neutralne, tak, że nie można używać ich do żeglugi, chyba w umówionych celach handlowych.

IV) Celem rozwinięcia i wzmocnienia przyjaznych stosunków między narodami stron, zawierających układ, zezwala się na zorganizowane obcowanie wojsk pod następującymi warunkami:

1) Zezwala się na obcowanie parlamentaryuszom, członkom komisyi rozejmowej (VII) i ich zastępcom.

2) W każdym odcinku jednej dywizyi rosyjskiej w jakich dwu lub trzech miejscach, może odbywać się zorganizowana komunikacya. W tym celu należy za porozumieniem się przeciwległych sobie dywizyi urządzić miejsca dla komunikacyi w strefie neutralnej między liniami demarkacyjnemi i ograniczyć je białemi chorągwiami. Komunikacya taka do zwolona jest tylko w dzień od wschodu do zachodu słońca. W miejscach dla tego ruchu może przebywać równocześnie najwięcej po 20 osób, należących do każdej ze stron, bez broni. Wymiana wiadomości i gazet jest dozwolona. Otwarte listy można podawać do dalszego wysyłania. Sprzedaż i wymiana towarów codziennego użytku w miejscach dla ruchu jest dozwolona.

3) Chowanie poległych w strefie neutralnej jest dozwolone. O powrocie wojskowych jednego kraju, których strony rodzinne położone są po tamtej stronie linii demarkacyjnej kraju drugiego, można rozstrzygać dopiero w rokowaniach pokojowych. Do tego zaliczają się także osoby, przynależne do polskich części wojsk.

4) Wszystkie osoby, które wbrew powyższym układom przechodzą przez linię demarkacyjną strony przeciwnej, będą przytrzymane i oddane dopiero w chwili zawarcia pokoju lub wypowiedzenia rozejmu.

V) Co do wojny morskiej ustala się:

1) Rozejm rozpościera się na całe morze Czarne i na Bałtyk. Co do rozejmu na morzu Białem i na wodach nadbrzeżnych rosyjskich północnego Oceanu Lodowatego, kierownictwa wojny morskiej niemieckie i rosyjskie w obopólnem porozumieniu zawrą osobny układ. Ataki z obu stron na okręty handlowe i wojenne na wymienionych wodach, o ile możności, już teraz nie mają się odbywać. Do owego osobnego układu mają wejść także postanowienia w celu zapobieżenia, aby siły morskie stron zawierających umowę, nie zwalczały się na innych morzach.

2) Ataki od morza i z powietrza na porty i wybrzeża drugiej strony kontraktującej na wszystkich morzach po obu stronach nie będą dozwolone.

3) Przelatywanie nad portami i wybrzeżami drugiej strony, jakoteż nad liniami demarkacyjnemi jest na wszystkich morzach wzbronione.

4) Rosyjskie siły zbrojne nie przekroczą linii demarkacyjnej ku południowi, siły morskie sprzymierzeńców ku północy. Rząd rosyjski obejmuje gwarancyę za to, że siły morskie koalicyi, znajdujące się w chwili rozpoczęcia się rozejmu na północ od linii demarkacyjnej, albo, które później tam się dostaną, zachowają się taksamo, jak siły zbrojne rosyjskie.

5) Handel i żegluga handlowa w obszarach morskich, oznaczonych pod 1) są wolne. Ustalenie wszystkich postanowień co do handlu, jako też podanie dróg bezpiecznych dla okrętów handlowych, powierza się komisyom rozejmowym na morzu Czarnem i na Bałtyku.

6) Strony kontraktujące zobowiązują się podczas rozejmu na morzu Czarnem i na Bałtyku nie przedsiębrać przygotowań do operacyi zaczepnych morskich przeciw sobie.

VI. Aby uniknąć niepokojów i wypadków na froncie, nie wolno odbywać ćwiczeń z działaniem piechoty bliżej, jak o pięć kilometrów, a z działaniem artyleryi bliżej, jak 15 kilometrów za frontem. Wojna minowa na lądzie zupełnie ustaje. Siły zbrojne powietrzne i balony na uwięzi muszą się trzymać poza strefą powietrzną szerokości 10 kilometrów poza własną linią demarkacyjną. Roboty koło stanowisk za przeduniemi zasiekami są dozwolone, ale nie takie, które mogą służyć do przygotowania ataków.

VII) Z rozpoczęciem się rozejmu zbiorą się „komisye rozejmowe“ (przedstawiciele wszystkich państw, mających udział w odcinkach frontu) którym ma się przedstawiać wszystkie sprawy wojskowe, dotyczące wykonywania postanowień rozejmu w odnośnych obszarach armii. Komisye te są następujące: 1) w Rydze dla Bałtyku 2) w Dźwińsku dla frontu od Bałtyku aż do Dsny, 3) w Brześciu Litewskim dla frontu od od Dsny aż do Prypeci, 4) w Berdyczewie dla frontu od Prypeci aż do Dniestru, 5) w Kołoszwarze i 6) w Focsani dla frontu od Dniestru aż do Czarnego morza. Granicę między obiema komisyami 5) i 6) wyznaczy się za obopólnem porozumieniem, 7) w Odessie dla Czarnego morza. Do rozporządzenia tych komisyi dane będą bezpośrednie, niekontrolowane przewody telegraficzne do krajów rodzinnych ich członków. Przewody te urządzi we własnym kraju, aż do środka między liniami demarkacyjnemi, odnośne kierownictwo wojskowe. Także na rosyjsko tureckich wdowniach wojny w Azyi urządzi się takie komisye według układów najwyższych komend obu stron.

VIII) Umowa o spoczynku oręża z 3 grudnia 1917 i wszystkie dotychczasowe umowy o spoczynku oręża lub o zawieszeniu broni co do poszczególnych odcinków frontu tracą swoją moc wobec układu o rozejm.

IX) Strony zawierające umowę tuż po podpisaniu tej umowy o rozejm rozpoczną rokowania pokojowe.

X) Wychodząc z zasady wolności, niepodległości i nienaruszalności terytoryalnej neutralnej Persyi, tureckie i rosyjskie kierownictwa wojskowe gotowe są wycofać swoje wojska z Persyi. Wejdą one bezzwłocznie w styczność z rządem perskim w celu uregulowania szczegółów oraz zarządzeń, któreby jeszcze były potrzebne do zabezpieczenia owych zasad.

O przedstawicielstwo Polski w obradach pokojowych z Rosyą.

Do pism codziennych donoszą z Warszawy: Kierujące sfery rządowe polskie czynią obecnie starania u rządów państw centralnych, mające na celu dopuszczenie przedstawiciel Rządu polskiego w toczących się obecnie obradach pokojowych z Rosyą.

Do postulatów tych odnoszą się hr. Czernin i hr. Hertling życzliwie.

Słychać, iż niebawem zapadnie w tej mierze decyzya mocarstw centralnych i to po myśli propozycyi rządu polskiego.

W związku z powyższą sprawą odbywają się obecnie z inicyatywy niektórych grup demokratycznych obrady wszystkich stronnictw politycznych polskich nie wyłączając socyalnej demokracyi, mające na celu udzielenie pełnego poparcia Rządowi polskiemu w jego staraniach.

Wieś Kościuszkowska.

Z podpisami księżnej regentowej Zdzisławowej Lubomirskiej, jako przewodniczącej Rady Naczelnej Towarzystwa Gniazd Sierocych, Władysława St. Reymonta, prezesa tegoż Towarzystwa i ks. kanonika Wacława Bliźńskiego, jako prezesa Komitetu tworzącego się Ogniska Kościuszkowskiego, otrzymaliśmy komunikat, z prośbą o podanie go do publicznej wiadomości.

„Budzi się do życia społecznego wieś polska i dziś jej dotkliwiej, niż przed laty, daje się odczuwać na wszystkich polach pracy brak ludzi i brak dostatecznej ilości wzorów organizacyi życia społecznego, któreby byłyby ośrodkami kultury ludowej.

W różny sposób różne instytucye, poświęcone sprawie ludu, pracę tę prowadzą.

Pomiędzy innemi Towarzystwo Gniazd Sierocych zakłada ją od podstaw budowy społecznego gmachu, wychowując w gniazdach sierocych z małych, celowo dobieranych dzieci, przyszłych ludowych działaczów, który przykładem własnego życia nieść mają sąsiadom kulturę i oświatę.

Dla ugruntowania i rozwinięcia swojej działalności Towarzystwo Gniazd Sierocych postanowiło przystąpić już teraz do utworzenia centralnego ogniska swej pracy, które pod nazwą Wsi Kościuszkowskiej powstanie w sposób następujący:

Zostanie zakupiony pod Warszawą majątek 40—50 włókowy w dobrych komunikacyjnych warunkach.

20 włók z tego przeznaczy się na utworzenie wzorowych 20 gniazd, czyli 20 wzorowych sierocych gospodarstw.

Obok kościoła staną szkoły ogólne i zawodowe: rolnicza, ogrodnicza, seminaryum gospodarstwa kobiecego i szkoła rzemieślnicza, oraz cały szereg instytucyi społecznych i organizacyi spółdzielczych.

Pozostała ziemia rozparcelowana zostanie na czterdzieści wzorowo pobudowanych dwudziestomorgowych sadyb, przeznaczonych do rozlosowania pomiędzy wszystkimi, którzy na Gniazda Sieroce złożą jednorazową ofiarę 20 marek i otrzymają od powiedniego pokwitowanie.

W celu umożliwienia sobie doboru odpowiednich ludzi do tej wsi, która ma się stać wzorem w przyszłości, Towarzystwo Gniazd Sierocych zastrzega sobie prawo wypłacenia wygrywającemu premię gotówką 30 000 marek, o ile zdaniem T. G. S. wygrywający nie byłby pożądanym członkiem tworzącej się „Kościuszkowskiej gromady“. Wygrywający ma również prawo żądania wypłacenia mu premii gotówką, a nie zagrodą.

Wszystkich właścicieli gruntów „Wsi Kościuszkowskiej“ obowiązywać będzie zalegalizowany statut, nadający „gromadzie“ możność regulowania biegu życia i racyonalnego rozwoju wsi. Przy sprzedaży zagród prawo pierwszeństwa w kupnie zastrzeżone jest dla Towarzystwa Gniazd Sierocych.

Wierzyć można, że cała tak utworzona wieś z czasem stanie się wzorową nietylko z nazwy i rozplanowania wzorowych budynków, ale i z ducha i z życia. Podstawą bowiem jej kulturalnego rozwoju będą owe 20 wzorowych gospodarstw sierocych i szkoły i wszystkie społeczne organizacye, jakie powinny się znajdować w idealnie pomyślanej wsi polskiej.

Za patrona tej, da Bóg, że w przyszłości wzorowej wsi polskiej, dla tego ogniska gospodarczej i społecznej kultury dla ludu wiejskiego, obierano najlepszego patryotę i ojca ludu polskiego, Tadeusza Kościuszkę, a poszczególne zagrody, przeznaczone do rozlosowania czcimy imieniem chłopa bohatera, zwąc je Bartoszowemi zagrodami, jako wyraz pragnień, ażeby cnoty Bartosza były dla mieszkańców chat tych zawsze żywym były przykładem.

W ten sposób w stuletnią rocznicę śmierci Naczelnika Kościuszki, T. G. S. tworzy najpiękniejszy, bo żywy pomnik idei braterstwa i równości stanów, ogłoszonych przez Naczelnika i wzywa lud całej Polski do chętnej ofiarności i szlachetnej współpracy“.

* * *

Całkowitą odpowiedzialność za utworzenie Ogniska Kościuszkowskiego Zarząd główny Towarzystwa Gniazd Sierocych złożył w ręce specyalnego Komitetu, pod przewodnictwem ks. kanonika Wacława Bliźńskiego z Liskowa.

Skład członków Komitetu niebawem będzie ogłoszony.

Starania o zalegalizowanie loteryi są już rozpoczęte.

Kronika tygodniowa.

Rok Pański tysiąc dziewięćsetny siedmnasty przechodzi wreszcie w stan spoczynku, ale bynajmniej nie „dobrze zasłużonego“. Pańskim on w samej rzeczy nie był, raczej możnaby go było nazwać chudopacholskim, gdyby bowiem ktoś porównał obwód swej cielesnej powłoki z początku roku z tak mże z końcem jego, przekona się, ku swemu przerażeniu, że nie utył, ale schudł. Nie odnosi się to tylko do dostawców, spekulantów, hyen aprowizacyjnych i tym podobnych dobrodziejów ludzkości, którzy w samej rzeczy w roku tym powiększyli tak objętość swego cielska, jak i za wartość portmonetki.

Schodzący z widowni rok żegnamy więc bez żalu i gdyby był istotą żyjącą, chcącą sobie zapewnić spokojną i wygodną starość, z pewnością nie przyznalibyśmy mu emerytury, nawet honorowej.

W szeregu lat wojennych był on z kolei czwartym, niestety, nie możemy jeszcze powiedzieć, że był i ostatnim, choć bowiem ogłoszono już urzędowo zawieszenie broni z Rosyą i Rumunią, reszta przecież koalicyi myśli wojnę prowadzić dalej. Na razie przynajmniej na wschodnim froncie będziemy mieć spokój przez cztery tygodnie, a nie jest wykluczonem, że w tym czasie rokowania dojdą do tego stadyum, iż będzie można przystąpić do zawarcia pokoju, niechajby on był na razie tylko odrębnym, z samą Rosyą i Rumunią. Może wówczas i reszta koalicyi pójdzie za przykładem swych wschodnich sprzymierzeńców i przyjdzie do przekonania, że lepsza słomiana choćby zgoda, niżeli złoty proces, jeżeli tak wojnę nazwać się godzi.

Rok 1917. kończymy więc pod nieco lepszemi auspicyami niż go zaczęliśmy, co powinno wpłynąć na złagodzenie o nim sądu i wspaniałomyślne przebaczenie mu bodaj części win.

Oj, bo narobił nam sporo!... Jeżelibyśmy chcieli przyglądać się karcie jego *plusów*, przekonamy się z bólem serca, że jest zupełnie czystą, gdy natomiast „karta ciężarów“ zapisana jest od góry do dołu i najczarniejszym z czarnych atramentów!

Jeśli owe ujemne jego strony rozpatrzyć mamy, a ułożymy je dla porządku po alfabecie, na pierwszy plan wynurzy się przedewszystkiem aprowizacya, a zaraz za nią asenterunek. O ile pierwsze dogryza całemu ogółowi, nie mając względu ani na wiek, ani na płeć, o tyle drugi oszczędził, dotąd przynajmniej, białogłowy, niemowlęta i zgrzybiałych starców, choć i ci ostatni nie są pewni, czy przypadkowo nie czeka ich powołanie do świadczeń wojennych, bodajby z miotłą w ręku, skoro nie potrafiliby unieść karabinu.

Aprowizacyi też daję pierwszeństwo, zwłaszcza, że jest to konik, na którym z taką lubością przez cały rok hasałem. Każdy obywatel nie tylko stołecznego, rozszerzonego Krakowa, ale i każdego innego miasta lub mieściny żywność swą oblicza z konieczności na różne karty, bez których nie dostanie nic, czemby grzeszne ciało swe mógł posilić, czem je okryć, a nawet przy czem ogrzać! Z początkiem roku mieliśmy owych kart stosunkowo nie wiele, później, w miarę przeciągania się wojny, powstawały prawie co miesiąc nowe, dziś mamy ich już tyle, że lubiący porządek obywatel musi mieć na nie osobną tekę z całą seryą przedziałek, by się przypadkowo nie omylić i, dajmy na to, do osłodzenia kawy lub herbaty nie użyć karty na mydło, zamiast na cukier. Trzeba bowiem także wiedzieć i o tem, że choć karty są, odnośnego artykułu najczęściej brakuje w handlu. Nie należy brać tego przecież dosłownie. Artykułu owego brakuje tylko, powiedzmy, oficyalnie, bez karty natomiast i po bardzo wygórowanej cenie można go nabyć w każdej żądanej ilości.

Nie tak dawno było to z mąką, teraz jest z cukrem. Piekarze tłómaczyli się odbiorcom, że nie otrzymali swego przydziału mąki, wobec czego nie mogą wypiekać chleba, ale im to bynajmniej nie przeszkadzało, że niektórych smakoszów, mających delikatniejsze podniebienie, zasilali bardzo apetycznemi bułeczkami z zupełnie białej mąki, przypominającemi dawne dwucentówki, ale tylko kształtem, gdyż cena ich dochodziła do ośmdziesięciu halerzy. Sprzedawano także mąkę „na boki“, to jest bez kart, a cena za kilogram docyodziła do dziesięciu koron, a nawet i więcej. Dopiero teraz, gdy zaczyna grozić niebezpieczeństwo pokoju i rozejm z Rosyą i Rumunią stał się faktem dokonanym, ceny spadły i spadać będą dalej.

Ba! Pojawił się nawet w większej ilości ryż, który do niedawna należał do wspomnień lepszej przeszłości. Niechaj jednak nie myśli kto przypadkiem, że nadeszły jego zapasy z Włoch. Broń Boże! Otwarto tylko wrota magazynów pokątnych, w których czekał na lepsze konjunktury, ale, przekonawszy się, że się nie doczeka, zmienił plany.

Najwyżej na giełdzie aprowizacyjnej notowane są karty cukrowe, choć na nie cukru w sklepach dostać nie można. Cena karty dochodzi już podobno do ośmiu koron zo sztukę, kilogram zaś cukru bez karcki kosztuje tylko... dwanaście koron.

Zupełnie to samo można powiedzieć o kartach na świece, naftę, mydło itd. Najpaskudniejsza sprawa ma być przecież z kartami na ubranie, gdyż chcąc nową sobie zafundować okryjbiedę, trzeba mieć nietylko odnośny certyfikat, ale ponadto trzeba jeszcze oddać stare strzępy, by w ten sposób udowodnić, że się ubrania w samej rzeczy potrzebuje. Gdy gaz i elektryczność zawodzi, świecimy też dziurami na łokciach, a nie mając złota cieszymy się, patrząc na pięknie świecące różne części naszej garderoby.

Brak zaś nie tylko złota, ale i srebra, które także drzemie gdzieś w ukryciu, czekając, jak mnie zapewniono, na tę chwilę, gdy powtórzą się stosunki z przed lat stu i za srebrnego guldena trzeba będzie zapłacić dwa tysiące koron monetą papierową.

Na gwiazdkę w roku 1917 obiecano nam nowy rodzaj kart, mianowicie karty tytoniowe. Mają je otrzymywać tylko mężczyźni, rodzaj żeński wykluczony jest z urzędu od korzystania z tej przyjemności. Karya tygodniowa, przeznaczona dla jednej osoby, ma być bardzo skromną, na samo wspomnienie o tem nowem zarządzeniu aż truchleją mężowie, mający „palące“ (ale nie „się“!...) żony. Przecież wedle ustawy, mąż i żona żyją we wspólności majątkowej, będzie się musiał małżonek podzielić swą porcyą z połowicą. Równocześnie ma też tytoń podrożeć i to podobno znowu o pięćdziesiąt procent.

Zarząd monopolu tytoniowego, będącego tylko przedsiębiorstwem obliczonem na zysk, korzystając z wojennych czasów, postępuje sobie zupełnie tak, jak pierwszy lepszy spekulant. Ceny wyrobów skaczą na złamanie karku, a równocześnie jakość jest coraz gorsza. Przypomina to postępowanie owego restauratora filozofa, który w miarę jak ceny potraw podwyższał, dla rekompensaty zmniejszał też i wielkość podawanych porcyi. Zarząd monopolu tytoniowego idzie w jego ślady, szczególniejszą zaś uwagę zwrócił nie na ilość, ale na jakość. Trzeba mieć bardzo bujną fantazyę i wiele zaparcia się siebie, by w tem co palimy jako tytoń, poczuć woń, smak i skutki nikotyny.

Ale może to, nawet i lepiej dla nas, bo przecież nikotyna to trucizna i to tem niebezpieczniejsza od innych, że powoduje rozdrażnienie nerwowe u danego osobnika, gdy jej nadużywa, ale jeszcze większe gdy jej brak!

By referat o owych kartach zupełnie wyczerpać, kilka słów poświęcić należy jeszcze sposobowi ich wydawania. Należałoby sądzić, że władze do tego powołane dołożą wszelkich starań, by ludność napotykała w tym kierunku jak najmniej trudności, tymczasem dzieje się wprost przeciwnie.

Na dowód przytoczę dwa przykłady, za których autentyczność zaręczyli mi interesowani. Mieli oni tę przyjemność, że doświadczali tego, o czem opowiadali, na swej własnej skórze.

Jeden z nich, którego niebiosa obdrzyły nieletniem dzieckiem, chcąc mu osłodzić życie, udał się do swojego rejonowego rozdawcy kart cukrowych z pokorną prośbą o wydanie karty dodatkowej na cukier dla swojego dziecka. Władza jednak z zasady niczemu nie wierzy, kazano więc jegomości, by udowodnił to w sposób wiarygodny. Gdy zaś wszelkie dowody, które mu się wydawały wystarczającymi, miał w ręku, raczej w kieszeni, idzie znów do biura i przekłada je, a „władza“ przejrzawszy je dokładnie orzeka, że faktem jest niezbitym, bo dokumentnie stwierdzonym, że pan ów jest ojcem owego dodatkowych słodyczy łaknącego dziecka, ale nasuwa się nowa wątpliwość, mianowicie, czy on je utrzymuje, czy też może kto inn.

Chodził więc ów ojciec od Annasza do Kajfasza i przekonywał ich, że tak się zwykle dzieje na świecie, iż ojciec stara się o swe dzieci, ale dużo czasu upłynęło, nim wreszcie dopiero na interwencyę władzy wyższej stał się posiadaczem tego cennego dokumentu.

Inny znów znalazł się w tem miłem położeniu, że nie było czem zapalić w piecu, gdyż zeszłoroczne zapasy węglowe już się wyczerpały, a nowe jeszcze nie nadeszły. Ponieważ zaś nie odzwyczailiśmy się jeszcze zupełnie od jedzenia, trzeba więc coś bodaj na obiad ugotować, trzeba też się i ogrzać. W drobnych składach bez asygnaty węgli się nie dostanie, ów „bezwęglowiec“ więc, sam nie mając czasu, wysłał w tym celu swą żonę do odnośnego biura. Tutaj przedewszystkiem nie uwierzono, by mógł być ktoś, kto węgli nie ma w swej piwnicy o tym czasie, gdy mróz już za czyna swe panowanie. Niewiasta zapewniała, że tak jest w samej rzeczy, a nie inaczej, ostatecznie, z grzeczności może dla płci pięknej uwierzono, ale odświadczono równocześnie, że ten urząd nie jest w tym wypadku kompetentnym, ale należy się zwrócić wprost do magistratu. Cóż było robić!... Podążyła więc biedaczka we wskazanym kierunku i po długich a do legliwych cierpieniach i wędrówkach odnalazła wreszcie w magistrackim labiryncie odnośne biuro, ale tylko po to, by się tam dowiedzieć, że powinna się zwrócić do tej „władzy“, która ją tu przysłała.

Postanowiła więc w owym dniu zrezygnować już z domowego obiadu i powróciła, gdzie jej kazano, by bodaj na najbliższe dnie zapewnić sobie opał. Tutaj wysłuchano cierpliwie jeszcze raz, o co jej się rozchodzi, pokiwano z powagą głowami i rzeknięto: że...

— To nas właściwie nie obchodzi nic, ale, jeśli pani chce koniecznie, to proszę wnieść podanie!

— Podanie? — zapytała.

— Tak!... Cóż w tem dziwnego?... Należy podać ilość żądanego węgla i wykazać się poświadczeniem gospodarza, że państwo zapasów nie posiadacie... Z tem podaniem należy się tutaj zgłosić, stąd odeśle się je gdzie należy!

— A czy długo będę musiała czekać na załatwienie?

— Hm!... Tego pani nie mogę powiedzieć! To zależy od referenta.. Zresztą to tajemnica urzędowa, której mi zdradzać nie wolno!...

Poskrobała się babina frasobliwie za uchem, podania nie wniosła, przez najbliższe zaś dni chodziła z mężem na obiady do kuchni obywatelskiej, a w międzyczasie zlitował się nad nimi węglarz grosista i nadesłał zamówioną ilość „czarnych dyamentów“, dzięki którym rozgrzało się na nowo ognisko domowe, zastygłe już w zupełności.

Życie więc każdego z nas z wszelakiemi kartkami związane było bardzo ściśle w roku 1917. Dużo człek się musiał nachodzić, nim kartę nawet nie dodatkową, ale zwyczajną otrzymał, jeszcze więcej stracił zaś czasu gdy w nią uzbrojony ustawiał się w odnośnym ogonku, nic też dziwnego, że i kronikarz rozpisał się o nich w swem wspomnieniu pośmiertnem o nieboszczyku, o którym, niestety, nic dobrego powiedzieć nie można.

Czarno też przez cały rok zapatrywaliśmy się na sytuacyę, jedyną rozmaitość mając tylko wtedy, gdy u nas grasowała czerwonka, zanim z nad Wisły przeniosła się nad Pełtew, by nie dać braciom Rusinom powodu do narzekania, że są znów pokrzywdzeni, gdyż o nich zapomniano! Ze smutne na ogół w tym roku panowały w Krakowie stosunki, mamy dowód choćby w tem, iż nie urządzono ani jednego bankietu na koszt miasta, nawet wówczas, gdy w Krakowie zjechali się burmistrze z całej Galilei, a część radców miejskich, nie mogąc się już tej doczekać, wyjechała na „bibkę“ do Warszawy, co się nazywało urzędowo hołdem Krakowa dla Rady Regencyjnej.

I nie dziwię się bynajmniej autorowi artykułu, zamieszczonego w *Kuryerku* o reformie naszego alfabetu. Twierdzi on, że literę „m“ należy z niego zupełnie wyrzucić, gdyż tylu rzeczy, zaczynających się od tej litery brakuje, (pojawią się, niech tylko o pokoju będzie głośniej!..). Jeśliby na ten projekt zgodzić się miała Akademia Umiejętności, która jedna jedyna może dowolnie rozporządzać naszym alfabetem, słuszność sama wymaga, aby ten sam los spotkał z tego powodu i inne litery, gdyż brak nam przecież wszystkiego, z wyjątkiem chyba powietrza, ale i tego nie jest się pewnym czy też i ono przypadkowo w najbliższej przyszłości nie ulegnie rekwizycyi, dajmy na to, dla celów lotniczych..

Ale cała w tem nadzieja, że rok 1917. już się kończy, a razem z nim skończą się może i nasze kłopoty. Jaki będzie następca, przewidzieć trudno, do nieboszczyka w każdym razie nieraz jeszcze będziemy zmuszeni powrócić, choćby tylko w następnym numerze, w którym kronikarz zda sprawozdanie, jak wyglądała wigilia bez ryb i opłatków i jak się bawił we święta. Na razie kończę życzeniami, by rok 1918. był już rokiem pokoju i naprawił to, co zepsuł i spaskudził poprzednik, któremu niech lekkim będzie sąd ogółu!

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
e e e
k k l l m
p p r
r r r z z

Znaczenie wyrazów: 1 Imię męskie 2 Roślina pastewna lub ogrodowa 3 Imię żeńskie

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wiesz ty nos! Mów, jak kos! C.

Logogryf.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię męskie.

— — ☐ — —
— — ☐ — —
— ☐ — —
— ☐ — —
— — ☐ —
— — ☐ — —

Znaczenie wyrazów: 1 Sprzęt domowy. 2 Wyraz znany z geografii 3 Inaczej barwa 4 Niemiecki poeta 5 Rodzaj kawy. 6. Bohater z powstania polskiego.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Eh! E! Idź!.. Cud! Długi pies broni sąg!

Okienko.

Ułożył X Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a a
d d e e k
n n n
s t t u u

Znaczenie wyrazów: 1 Miejscowość znana z walk w wojnie prusko-francuskiej. 2. Złoty pieniądz 3. Imię męskie biblijne

Szarada.

Ułożyła W. Strzeciwska, Chyrów.

Pierwsza płynie po Wiśle, gdy pękają lody,
Drugi niezbędny w sukniach, z modą, czy bez mody,
Pierwsza z trzecią, to ptaki, barwne piórka mają
I od nich też im ludzie nazwisko nadają.
Wszystko razem mąż wielki, pisarz, co się zowie
Zwłoki jego złożono na Skałce w Krakowie

Trójkąt magiczny.

Ułożył Ed. Składzień, Zawada.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego poety.

☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐
☐ — — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — —
☐ — — — —
☐ — — —
☐ — —
☐ —
☐

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Dawna broń 3 Przymiot. 4 Inaczej sposób 5 Część twarzy. 6 Rzeka w Hiszpanii 7. Dawna miara długości 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył E. Składzień, Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

I w Boga wiesz! I chce dar.

Łamigłówka literacka.

Ułożył K. Przeporski, Kraków.

Wynaleźć tytuły dzieł podanych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza

Szekspir?
Tołstoj?
Gautier?
Kryczyński?
Göthe?
Boccacio?
Göthe?
Gorkij?
Fredro?
Wyspiański?
Szekspir?
Krasiński?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył E. Składzień. Zawada.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Lecwie m'sę vje'z! Rozpozna jedwab?

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

MANAPOSKI.
RAZOSKI.
Z. ZAKORSKY.
RUZENSKI.
M. Y. KOZODROP.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego*. **Po śluble.** Powieść, oraz **Album Legianów polskich** (dwa egzemplarze.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 50.

Trójkąt magiczny:

P i ł s u d s k i
I z d e b n i k
Ł o ż y s k o
S o l s k i
U r b a n
D a r ń
S ó l
K u
I

Łamigłówka:

Jaś
wół
lwa
kęs
łut
yen
Men
Nil
mak
oko
łoś
rak
maj

Logogryf

B
ł e ś
B o l e k
w r z e n i e
ł o s o ś
t l o
s
o w s
N a k ł o
k l a r n e t
m u z y k
s y k
i w a
n r e s o
s t r u m y k
m i s k a
k t o
y

Zadanie do przestawienia: Co dobre, to rzadkie

Zadanie do uzupełnienia: Hulaj dusza bez kontusza!

Szarada: Śliwowica

Zadanie do uzupełnienia:

1) Adiu Frnzia!
2) Jak po kopie, to po chłopie

Zadanie do przestawienia: Przuść pana po cholewach

Bilety wizytowe: Stemach Alchemik Literat Dyrygent Flaneur

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, K. Nowicki Przemyśl K Piasecka Lwów. J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M. Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga. J Lustig Lwów, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Broda, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: W. Lipińska Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeyskiego